



MORGAN RICE

POWRÓT WALECZNYCH

(KSIĘGA 2 KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘZNICY)

Morgan Rice
Powrót Walecznych
Серия «Крólowie I
Czarnoksiężnicy», книга 2

*http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43696191
Powrót Walecznych (Część 2 serii Królowie i Czarnoksiężnicy):
ISBN 9781632913869*

Аннотация

Przepełniona akcją powieść z gatunku fantasy, która z pewnością zadowoli zarówno fanów dotychczasowej twórczości Morgan Rice, jak i entuzjastów powieści takich jak The Inheritance Cycle Christophera Paolini.. Najnowsza powieść Rice wciążnie bez reszty wszystkich miłośników literatury dla młodzieży. The Wanderer, A Literary Journal (dotyczy Powrotu Smoków) Bestsellerowa seria! POWRÓT WALECZNYCH to druga część bestsellerowej serii fantasy Morgan Rice, KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘŻNICY (pierwsza część, POWRÓT SMOKÓW, jest do ściągnięcia za darmo) ! Po spotkaniu ze smokiem Kyra, córka Duncana, zostaje wysyłana w niebezpieczną podróż przez Escalon, by odnaleźć swego wuja w tajemniczej wieży Ur. Tam też ma nauczyć się korzystać ze swoich niezwykłych mocy, oraz dowiedzieć się kim naprawdę jest i kim jest jej matka. By przetrwać tą wyprawę przez świat pełen dzikich zwierząt i równie dzikich mężczyzn, Kyra będzie musiała wykorzystać

wszystkie swoje zdolności. Jej ojciec, Duncan, musi poprowadzić swoich ludzi na południe, do wspaniałego wodnego miasta Esephus, by tam spróbować uwolnić swych towarzyszy z żelaznego uścisku Pandezji. Jeśli to mu się uda, będzie musiał kontynuować podróż do zdradzieckiego Jeziora Ire, a następnie na zlodowaciałe szczyty Kos, które zamieszkują najwaleczniejsi wojownicy Escalonu. Bez nich bowiem plan podbicia stolicy nie ma żadnych szans powodzenia. Alec i Marco uciekają z Płomieni i kierują się do Cierniowego Lasu, gdzie na ich życie czyhają tajemnicze bestie. Kierowani pragnieniem rychłego spotkania z rodziną Aleca, kontynuują dramatyczną podróż przez świat pogrążony w mroku. Kiedy wreszcie przybywają do rodzinnej wioski Aleca, ich oczom ukazuje się przerażający obraz. Merk, wbrew rozsądkowi, idzie z pomocą dziewczynie i po raz pierwszy w życiu wikła się w sprawy nieznajomych. Nie rezygnuje jednak z pielgrzymki do Wieży Ur i wkrótce, ku swojej udręce, orientuje się, że wieża nie jest tym, czego oczekiwał. Dzięki olbrzymowi Wezuwiusz i jego armia trolli już wkrótce będą mogli przejść pod Płomieniami. Tymczasem smok, Theos, wyrusza w swoją własną misję specjalną do Escalonu. **POWRÓT WALECZNYCH** zabierze cię w świat rycerzy i wojowników, królów i namiestników, honoru i męstwa, magii, przeznaczenia, potworów i smoków. To magiczna opowieść o miłości i złamanym sercu, oszustwach, ambicji i zdradzie. To powieść fantasy w najlepszym wydaniu, która będzie żyć w tobie jeszcze długo po jej przeczytaniu, która wciągnie każdego czytelnika, bez względu na jego płeć czy wiek. Część 3. serii Królowie i Czarnoksiężnicy zostanie opublikowana już wkrótce. Dobra wiadomość dla wszystkich, którzy po przeczytaniu całej serii Kręgu Czarnoksiężnika wciąż pragną więcej. Powrót Smoków Morgan Rice to zapowiedź kolejnej genialnej serii fantasy, która zabierze

nas w podróż do świata trolli i smoków, męstwa, honoru, odwagi, magii i wiary w swoje przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć nietuzinkowych bohaterów, których dopingujemy na każdej stronie książki.. Obowiązkowa pozycja w biblioteczce każdego miłośnika gatunku fantasy. Books and Movie Reviews, Roberto Mattos (dotyczy Powrotu Smoków) [Ta powieść] to ogromny sukces – od samego początku.. Rewelacyjna powieść fantasy.. Zaczyna się tak, jak powinna – od opisu zmagania jednej bohaterki, by potem, z każdą kolejną stroną, wprowadzać nas coraz głębiej w świat rycerzy, smoków, magii, potworów i przeznaczenia.. W tej książce znajdziesz wszystko to, co potrzebne jest dobrej fantasy, od wojowników i bitew, po konfrontację z samym sobą... Szczególnie polecana dla czytelników, którzy lubią przygody młodych, zdeterminowanych i wiarygodnych bohaterów. Midwest Book Review, D. Donovan, eBook Reviewer (dotyczy Powrotu Smoków) Przyjemna lektura na weekend... Dobry początek obiecującej serii San Francisco Book Review (dotyczy Powrotu Smoków)

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	18
ROZDZIAŁ DRUGI	26
ROZDZIAŁ TRZECI	33
ROZDZIAŁ CZWARTY	59
ROZDZIAŁ PIĄTY	67
ROZDZIAŁ SZÓSTY	82
Конец ознакомительного фрагмента.	94

Morgan Rice

Powrót Walecznych

(Część 2 serii Królowie i Czarnoksiężnicy)

Morgan Rice

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

PRZEMIENIONA (Księga 1 cyklu Vampire Journals), ARENA ONE (Księga 1 cyklu Survival Trilogy), WYPRAWA BOHATERÓW (Księga 1 cyklu Kraż Czarnoksiężnika) oraz POWRÓT SMOKÓW (Księga 1 cyklu Kings and Sorcerers)

dostępne są nieodpłatnie.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

Wybrane recenzje Morgan Rice

"Dobra wiadomość dla wszystkich tych, którzy po przeczytaniu całej serii KREGU CZARNOKSIEŻNIKA wciąż pragną więcej. POWRÓT SMOKÓW Morgan Rice to zapowiedź kolejnej genialnej serii fantasy, która zabiera nas w podróż do świata trolli i smoków, męstwa, honoru, odwagi, magii i wiary w swoje przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć nietuzinkowych bohaterów, których dopingujemy na każdej stronie książki. ... Obowiązkowa pozycja w bibliotece każdego miłośnika gatunku fantasy."

--Books and Movie Reviews

Roberto Mattos

"Powrót Smoków to ogromny sukces – od samego początku Rewelacyjna powieść fantasy ... Zaczyna się tak, jak powinna – od opisu zmagania jednej bohaterki, by potem, z każdą kolejną stroną, wprowadzać nas coraz głębiej w świat

rycerzy, smoków, magii, potworów i przeznaczenia. ... W tej książce znajdziesz wszystko to, co potrzebne jest dobrej fantasy, od wojowników i bitew, po konfrontację z samym sobą... Szczególnie polecana dla czytelników, którzy lubią przygody młodych, zdeterminowanych i wiarygodnych bohaterów."

--*Midwest Book Review*

D. Donovan, eBook Reviewer

"[POWRÓT SMOKÓW] to przyjemna lektura na weekend... Dobry początek obiecującej serii"

--*San Francisco Book Review*

"Przepełniona akcją powieść z gatunku fantasy, która z pewnością zadowoli zarówno fanów dotychczasowej twórczości Morgan Rice, jak i entuzjastów powieści takich jak The Inheritance Cycle Christophera Paolini.... Najnowsza powieść Rice wciągnie bez reszty wszystkich miłośników literatury dla młodzieży."

--*The Wanderer, A Literary Journal* (dotyczy *Rise of the Dragons*)

"Porywająca powieść fantasy, w której fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intrygi. *Wyprawa Bohaterów* opowiada o odwadze i życiowej misji, której realizacja prowadzi do rozwoju, dojrzałości i doskonałości... Dla tych, którzy szukają ekscytującej opowieści fantasy, pełnej wyrazistych bohaterów, środków przekazu i akcji. Książka w piękny sposób opisuje dorastanie Thora i jego przemianę z narwanego chłopca w młodego mężczyznę, który musi stawić czoła niebezpiecznym

wyzwaniom... To zaledwie początek czegoś, co zapowiada się na cykl epickiej serii dla młodzieży.”

--Midwest Book Review (D. Donovan, eBook Reviewer)

“KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA zawiera wszystkie elementy niezbędne do osiągnięcia natychmiastowego sukcesu: fabułę, zmowy i spiski, tajemnicę, dzielnych rycerzy, rozwijające się bujnie związki uczuciowe i złamane serca, podstęp i zdradę. Zapewni rozrywkę na wiele godzin i zadowoli czytelników w każdym wieku. Uważana za obowiązkową pozycję w biblioteczce każdego czytelnika fantasy.”

--Books and Movie Reviews, Roberto Mattos

“Wciągające epickie fantasy [KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA] zawiera klasyczne cechy gatunku – fabułę mocno osadzoną w realiach starożytnej Szkocji i znakomicie rozwiniętą intrygę.”

—Kirkus Reviews

“Bardzo podobała mi się postać Thora i świat, w którym żył. Morgan Rice wspaniale opisała jego krajobraz i żyjące w nim stworzenia... Podobała mi się [fabuła]. Była zwięzła i urocza... Nie było zbyt wielu pobocznych bohaterów, dzięki czemu łatwo było się w nich połapać. Były przygody i wstrząsające momenty, ale przedstawiona akcja nie była zbyt groteskowa. Ta książka to idealny wybór dla nastoletnich czytelników... Nadchodzi początek czegoś niezwykłego.”

--San Francisco Book Review

“Jest to pierwsza część sagi fantasy „Krag Czarnoksiężnika” (obecnie złożonej z czternastu części), w której Rice przedstawia czytelnikom losy 14-letniego Thorgrina "Thora" McLeoda, którego największym marzeniem jest dołączenie do Srebrnego Legionu, elitarnego oddziału królewskiej armii.... Pisarstwo Rice jest porządne, a przesłanie intrygujące.”

--Publishers Weekly

"[WYPRAWA BOHATERÓW] to szybka i lekka lektura. Każdy rozdział zakończony jest w taki sposób, że wprost musisz dowiedzieć się, co będzie dalej. W książce jest kilka literówek i niektóre imiona są pomieszane, ale w żaden sposób nie przeszkadza to w śledzeniu historii. Zakończenie książki sprawiło, że zapragnęłam natychmiast przeczytać kolejną część i tak też zrobiłam. Wszystkie dziewięć części serii Krag Czarnoksiężnika są do nabycia w Kindle Store, a Wyprawa Bohaterów dostępna jest obecnie za darmo! Jeśli szukasz lekkiej i przyjemnej lektury, ta książka na pewno spełni twoje oczekiwania"

--FantasyOnline.net

Książki Morgan Rice

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (Część #1)

POWRÓT WALECZNYCH (Część #2)

KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZĘŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZĘŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZĘŚĆ 3)

ZEW HONORU (CZĘŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZĘŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZĘŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZĘŚĆ 7)

OFIARA BRONI (CZĘŚĆ 8)

NIEBO ZAKŁĘĆ (CZĘŚĆ 9)

MORZE TARCZ (CZĘŚĆ 10)

ŻELAZNE RZĄDY (CZĘŚĆ 11)

KRAINA OGNI (CZĘŚĆ 12)

RZĄDY KRÓLOWYCH (CZĘŚĆ 13)

PRZYSIĘGA BRACI (CZĘŚĆ 14)

SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZĘŚĆ 15)

POTYCZKI RYCERZY (CZĘŚĆ 16)

ŚMIERTELNA BITWA (CZĘŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ 1)

ARENA TWO (CZEŚĆ 2)

THE VAMPIRE JOURNALS

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)

KOCHANY (CZEŚĆ 2)

ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)

PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)

POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)

ZARECZONA (CZEŚĆ 6)

ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)

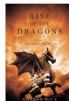
ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)

WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)

UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)

NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

KINGS AND SORCERERS



THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals





**Słuchaj serii KRÓLOWIE I
CZARNOKSIĘŻNICY na audiobooku!**

Teraz dostępne na:

Amazon

Audible

iTunes

Chcesz dostać książki za darmo?

Dołącz do listy mailingowej Morgan Rice, a otrzymasz 4 bezpłatne książki, 2 darmowe mapy, 1 darmową aplikację i ekskluzywne upominki. Zarejestruj się na stronie: www.morganricebooks.com

Copyright © 2014 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejszy e-book przeznaczony jest wyłącznie do użytku osobistego. Niniejszy e-book nie może być odsprzedany lub odstąpiony innej osobie. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, należy zakupić dodatkowy egzemplarz dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, choć jej nie zakupiłeś, lub nie została ona zakupiona dla ciebie, powinieneś ją zwrócić i kupić własną kopię. Dziękujemy za poszanowanie ciężkiej pracy autora.

Niniejsza książka jest utworem literackim. Wszystkie nazwy, postacie, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do imion czy cech prawdziwych osób jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Jacket image Copyright St. Nick, © Shutterstock.com.



*“Trwożliwy stokroć umiera przed śmiercią;
Mężny raz tylko czuje śmierci gorycz..”*

-- William Shakespeare Juliusz Cazar

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kyra, przemierzając z wolna pole bitwy, nie mogła uwierzyć w to, co tu zaszło. Była wstrząśnięta. Jak okiem sięgnąć ziemia zasłana była ciałami tysięcy żołnierzy Gwardii Lorda. Najgroźniejsi ludzie w całym Escalonie leżeli teraz martwi u jej stóp, zmieceni z powierzchni ziemi jednym zionięciem smoka. Śnieg topniał pod ich zwęglonymi, tłącymi się jeszcze zwłokami. Szkielety, skręcone w nienaturalnych pozycjach, wciąż kurczowo ścisnęły broń w kościstych palcach. Twarze wykrzywione były w agonii. Jakimś sposobem kilka trupów nadal stało na baczność, patrząc w niebo, jakby zastanawiając się, co ich zabiło.

Kyra zatrzymała się przy jednym z nich, skonfundowana. Wyciągnęła rękę i dotknęła palcem jego piersi, po czym zaskoczona obserwowała, jak zwęglony korpus w jednej chwili zamienia się w dymiącą stertę kości.

Usłyszawszy przeraźliwy pisk dochodzący z przestworzy, podniosła głowę, by na nieboskłonie dojrzeć Theosa, wciąż zionącego ogniem w szale. Dokładnie czuła to, co czuł on, wściekłość płynącą w jego żyłach, pragnienie zniszczenia całej Pandezji – a może i całego świata – gdyby tylko mógł. To był pierwotny gniew, furia, która nie znała granic.

Dźwięk ciężkich butów za plecami wyrwał ją z zamyślenia. Odwróciwszy się, Kyra ujrzała dziesiątki mężczyzn, ludzi swego ojca, podążających w jej kierunku, rozglądających się po okolicy

z niedowierzaniem. Ci zaprawieni w bojach mężczyźni chyba nigdy wcześniej nie widzieli na własne oczy takiej masakry. Nawet jej ojciec, który stał nieopodal w towarzystwie Anvina, Arthfaela i Vidara wydawał się oszołomiony. To wszystko było jak sen.

Kyra widziała, jak ci dzielni wojownicy przenoszą zdumiony wzrok z nieboskłonu na nią. Tak jakby to *ona* była odpowiedzialna za ten pogrom, jakby to ona sama była smokiem. W końcu tylko ona mogła go przywołać. Odwróciła wzrok, zakłopotana; nie było dla niej jasne, czy patrzą na nią jak na wojownika czy jak na dziwadło. Być może oni sami nie wiedzieli.

Kyra wróciła myślami do swej modlitwy w noc Zimowego Księżyca, do swego życzenia, by dowiedzieć się wreszcie, czy naprawdę była wyjątkowa, czy jej moce były prawdziwe. Po tym, co tutaj się dzisiaj stało, po tym starciu, nie miała już co do tego żadnych wątpliwości. Przywołała smoka siłą swojej *woli*. Czuli to. Nie wiedziała tylko jak to zrobiła. Teraz jednak była już pewna, że nie jest taka, jak inni. I nie mogła przestać myśleć o tym, czy w związku z tym także inne proroctwa były prawdziwe. Czy jej przeznaczeniem było stać się wielkim wojownikiem? Wielkim władcą? Większym nawet niż jej ojciec? Czy naprawdę poprowadzi całe narody do walki? Czy los Escalonu naprawdę był w jej rękach?

Kyra nie mogła w to uwierzyć. Może Theos przybył tu z własnych pobudek; może pogrom, którego dokonał, nie miał z nią nic wspólnego. W końcu to Pandezjanie go okaleczyli, a to

przecież mogła być jego zemsta.

Kyra nie była już niczego pewna. Krocząc po polu bitwy, gdzie największy wróg jej narodu leżał pokonany w zgliszczach, czując siłę smoka płynącą w swych żyłach, wiedziała, że nie ma rzeczy niemożliwych. Zrozumiała, że nie jest już piętnastoletnią dziewczynką, szukającą uznania w oczach innych ludzi; już nie jest zabawką Lorda Gubernatora, ani żadnego innego mężczyzny; nie jest niczyją własnością, nikt nie miał już prawa zmuszać jej do małżeństwa, wykorzystywać, torturować. Była panią swojego losu. Wojowniczką wśród mężczyzn, której należał się szacunek.

Kyra brnęła przez morze ciał, by w końcu dotrzeć do jego krańca, do miejsca, gdzie biel śniegu nie była już zbrukana krwią. Stała obok ojca, by wraz z nim chłonąć roztaczający się przed nimi widok. Wpatrywali się jak zaczarowani w na wskroś otwarte wrota Argos, miasta, którego mieszkańcy leżeli teraz martwi wśród tych wzgórz. Niesamowite było widzieć, jak ten potężny fort stoi teraz pusty, zupełnie bezbronny. Najlepiej strzeżony bastion Pandezji stał się teraz otwarty dla każdego. Dotąd jego przytłaczająco wysokie mury obronne, wyrzeźbione z grubego kamienia, solidne kraty i tysiące stacjonujących tu żołnierzy Pandezji, wykluczały jakąkolwiek możliwość buntu w społeczeństwie; przejęcie go przez siły Pandezji pozwoliło tym niegodziwcom utrzymać w żelaznym uścisku całą północno-wschodnią część Escalonu.

Wszyscy razem wyruszyli krętą ścieżką w dół zbocza,

w kierunku bram miasta. To był zwycięski marsz wzdłuż drogi usianej ciałami nieszczęśników, ciałami, które wyznaczały krwawy szlak zemsty smoka. To było jak chodzenie po cmentarzysku.

Kiedy przechodzili przez bramę, Kyra zamarła w progu z trwogi: wewnątrz bowiem ujrzała kolejne tysiące zwęglonych, wciąż tłących się zwłok. Tylko tyle pozostało z posiłków, które jeszcze niedawno wesprzeć miały Gwardię Lorda. Theos nie oszczędził nikogo.

Gdy wyszli na dziedziniec, uderzyła ich przejmująca cisza, w której pogrążone było Argos. W całym forcie nie było ani śladu żywej duszy. Tak potężne miasto, zupełnie pozbawione teraz życia, robiło niesamowite wrażenie. Wyglądało to tak, jakby Bóg wymiótł życie z tego miasta jednym oddechem.

Ludzie jej ojca ruszyli naprzód i wtem cały dziedziniec wypełnił się okrzykami podekscytowania. Kyra szybko zrozumiała dlaczego. Cała ziemia zasnuta była drogocenną bronią, jakiej nigdy dotąd nie widziała. Porozrzucane po całym rynku były łupy wojenne: najznakomitsza broń, najtwardsza stal, najlepsze zbroje, wszystko oznaczone Pandezjańskimi emblematami. Wśród tych wszystkich skarbów porozrzucane tu i ówdzie leżały sakiewki ze złotem.

Co więcej, na drugim krańcu dziedzińca znajdowała się kamienna zbrojownia, której pozostawione w pośpiechu otwarte na oścież drzwi, odsłaniały zgromadzone wewnątrz skarby. Ściany obwieszone były mieczami, halabardami,

pikami, toporami, włóczniami i łukami, wykonanymi z najszlachetniejszej stali, jaką do zaoferowania miał świat. Było tu wystarczająco dużo broni by uzbroić połowę Escalonu.

Wtem dobiegł ją dźwięk rżenia i Kyra odwróciła się, by nieopodal dojrzeć rząd stajni, a w nich całą armię najlepszych koni, którym smok darował życie. Koni było wystarczająco dużo, by ponieść całą armię.

W oczach ojca Kyra ujrzała płomyk nadziei, którego nie widziała u niego od lat. Dokładnie wiedziała, o czym myślał: Escalon ma szansę się odrodzić.

Nagle rozległ się ogłuszający pisk i gdy Kyra zadarła w górę głowę, ujrzała majestatyczną postać Theosa, który z rozpostartymi szponami zniżał swój lot nad miastem. Nawet z takiej odległości widziała, jak wlepia w nią swoje żółte, błyszczące ślepie. Nie mogła wręcz oderwać od nich wzroku.

Theos zanurkował i wylądował tuż za bramą miasta. Kyra wiedziała, że czeka tam na nią. Czuła, jak ją do siebie wzywa.

Kyrze z przejęcia aż zrobiło się słabo. Poczuła intensywny związek z tym stworzeniem. Nie miała wyboru, musiała do niego podejść.

Gdy Kyra odwróciła się i ruszyła przez dziedziniec w stronę bram miasta, czuła na sobie spojrzenie wszystkich zabranych tam mężczyzn. Szła samotnie w stronę smoka, śnieg skrzypiał jej pod butami, a serce waliło tak, jakby zaraz miało wyskoczyć jej z piersi.

W pewnej chwili Kyra poczuła delikatny dotyk na swym

ramieniu. Obejrzała się by ujrzeć zaniepokojoną twarz swego ojca.

– Bądź ostrożna – ostrzegł ją.

Kyra ruszyła dalej, nie czując strachu. Ze smokiem łączyła ją intensywna więź, jakby był częścią niej, częścią, bez której nie potrafiłaby już żyć. Dręczyło ją tak wiele pytań; skąd przybywa? Co go sprowadza do Escalonu? Dlaczego nie wrócił wcześniej?

Gdy Kyra przeszła przez bramę Argos i zbliżyła się do smoka, ten wydał z siebie jeszcze głośniejszy odgłos, coś pomiędzy mruczeniem a warczeniem, i delikatnie zatrzepotał swymi ogromnymi skrzydłami. Otworzył pysk, obnażając przy tym swoje długie na prawie dwa metry i ostre jak brzytwa zęby, jakby chciał zionąć na nią ogniem. Wtedy oblał ją prawdziwy strach. Patrzył na nią tak przenikliwie, że nie była w stanie nawet myśleć.

Kyra w końcu zatrzymała się, zaledwie kilka kroków przed nim. Przyglądała mu się z podziwem. Theos był wspaniały. Miał jakieś dziesięć metrów wysokości, a całe jego cielsko pokryte było grubą, twardą łuską. Ziemia drżała, gdy oddychał. Była skazana na jego łaskę.

Stali w milczeniu, przyglądając się sobie nawzajem. Serce w piersi Kyry biło tak mocno, że z trudem mogła oddychać.

Wreszcie głośno przełknęła ślinę i zebrała się na odwagę, by przemówić.

– Kim jesteś? – zapytała niemal szeptem – Dlaczego do mnie przychodzisz? Czego ode mnie chcesz?

Theos spuścił łeb i warcząc pochylił się do niej tak blisko, że jego wielki pysk niemal dotknął jej piersi. Jego ogromne, świecące na żółto oczy, zdawały się przenikać ją na wskroś. Patrzyła w jego ślepie i czuła jak przenosi się do innego świata, w inne czasy.

Kyra czekała na odpowiedź. Czekala aż jej umysł wypełni się z myślami, jak to było kiedyś.

Z każdą chwilą Kyra zaczynała niepokoić się coraz bardziej, w umyśle jej bowiem nie pojawiał się głos Theosa. Czyżby zamilkł na zawsze? Czy straciła z nim więź?

Kyra wpatrywała się w niego, nie mogąc nic z tego zrozumieć. Smok był bardziej tajemniczy, niż kiedykolwiek dotąd. Nagle zniżył się jeszcze bardziej, wyciągając szyję, jakby zapraszał ją do lotu. Natychmiast rozpromieniała, gdy wyobraziła sobie, że szybuje na nim w przestworzach.

Kyra powoli podeszła do jego boku, wyciągnęła rękę i chwyciła jego twarde i szorstkie łuski, chcąc wspiąć się po jego szyi.

Lecz ledwie go dotknęła, ten szarpnął się gwałtownie, zwalając ją z nóg. Zatrzepotał skrzydłami i jednym szybkim ruchem poderwał się w powietrze. Jej dłonie pocierały się o niego jak o papier ścierny.

Kyra stała tam poraniona, zaskoczona, ale przede wszystkim ze złamanym sercem. Patrzyła bezradnie, jak ten potężny stwór unosi się w powietrze i leci coraz wyżej i wyżej. Tak szybko, jak się pojawił, teraz zniknął w chmurach, nie pozostawiając po

sobie nic prócz ciszy.

Kyra stała tam zrozpaczona, bardziej samotna niż kiedykolwiek dotąd. I gdy ostatnie jego krzyki ucichły, wiedziała na pewno, że tym razem Theos odszedł na zawsze.

ROZDZIAŁ DRUGI

Alec i Marco biegli przez gęsty las w ciemną noc, co i rusz potykając się o wystające korzenie drzew przysypane śniegiem. Serce tak mocno waliło w piersi Aleca, że z trudem łapał oddech. Pragnął przystanąć choć na chwilę, nabrać sił, lecz wiedział, że jeśli chce ująć z życiem, musi dotrzymać kroku Marco. Po raz setny już chyba obejrzał się przez ramię i patrzył, jak blask Płomieni słabnie w miarę jak zagłębiają się w gęstwinie. Minął kolejne grube drzewa, by już po chwili zatopić się w bezkresnej ciemności.

Chłopcy po omacku szukali teraz drogi pomiędzy grubymi pniami i sterczącymi gałęziami, które boleśnie kaleczyły ich ramiona. Alec przedzierał się coraz głębiej w las, starając się nie zwracać uwagi na dobiegające ich zewsząd przeraźliwe odgłosy dzikich zwierząt. Nie raz ostrzegano go przed tym lasem, pełnym śmiertelnych niebezpieczeństw. Z każdym kolejnym krokiem ogarniała go coraz większa panika. Czuł na swym karku oddech czyhających na ich życie wściekłych bestii. Przeszło mu nawet przez myśl, że może powinien być zostać u Płomieni.

– Tędy! – Marco złapał go za ramię i pociągnął do siebie, wskazując drogę pomiędzy dwoma ogromnymi drzewami. Alec podążył za nim, ślizgając się na śniegu, by po chwili znaleźć się na oświetlonej przez księżyc niewielkiej polanie.

Oboje zatrzymali się przed nią i pochyleni, z rękami

wspartymi na biodrach, próbowali złapać oddech. Wymienili spojrzenia, po czym Alec spojrział przez ramię na knieję. Ciężko oddychał, płuca bolały go z zimna. Korzystając z chwili postoju, zapytał:

– Dlaczego nie idą za nami?

Marco wzruszył ramionami.

– Być może wiedzą, że las załatwi sprawę za nich.

Alec nasłuchiwał głosów pandezyjskich żołnierzy, spodziewając się, że niebawem strażnicy ich dogonią. Zamiast tego usłyszał inny dźwięk, jakby niskie, wściekle warczenie.

– Słyszysz to? – zapytał Alec, a włosy zjeżyły mu się na karku.

Marco pokręcił głową.

Alec stał bez ruchu, nasłuchując, zastanawiając się, czy to aby nie jego umysł płata mu figle. Nagle znowu to usłyszał. Dźwięk dochodził z oddali, dźwięk wywołujący ciarki, jakiego Alec dotąd nie słyszał. Odgłos stawał się coraz wyraźniejszy. Alec wiedział już, że to coś się do nich zbliża.

Marco spojrział na niego z przerażeniem w oczach.

– To dlatego po nas nie szli – powiedział Marco, głosem pełnym niepokoju.

Alec nie bardzo rozumiał.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Wilvoxy – odpowiedział z trwogą – Spuścili je na nas.

Na dźwięk słowa Wilvox Aleca oblały zimne poty; w przeszłości słyszał o tych stworach, wiedział, że podobno zamieszkują Cierniowy Las, choć w istocie nigdy nie myślał,

że istnieją naprawdę. Mówiło się o nich, że są najbardziej morderczymi istotami na świecie, potworami z nocnych koszmarów.

Warczenie stawało się coraz głośniejsze, a co gorsza, nie należało do jednego stworzenia.

– SPADAMY STĄD – zarządził Marco.

Chłopcy rzucili się w pęd przez polanę i wbiegli z powrotem między drzewa. Adrenalina buzowała w żyłach Aleca. Biegając, słyszał bicie własnego serca, które zagłuszało nawet odgłosy lasu. Wkrótce poczuł jednak, że bestie są coraz bliżej i wiedział już, że nie mają szans przed nimi uciec.

Alec potknął się o korzeń i z impetem uderzył w drzewo; krzyknął z bólu, zdyszany, lecz szybko otrząsnął się i ruszył dalej. Wiedział, że mają coraz mniej czasu. Rozejrzał się po okolicy, szukając jakiegokolwiek schronienia – wokół jednak były tylko drzewa i chaszczce.

Warczenie stawało się coraz głośniejsze. Biegając, Alec obejrzał przez ramię i natychmiast tego pożałował. Ujrzał tam szarżujące na nich cztery najbardziej krwiożercze stworzenia, jakie kiedykolwiek dotąd spotkał na swej drodze. Przypominające wilki, Wilvoxy były dwa razy od nich większe, a ze łba wystawały im rogi ostre niczym sztylety, pomiędzy którymi umiejscowione było wielkie, krwistoczerwone oko. Bestie miały niedźwiedzie łapy, zakończone długimi pazurami, a ich sierść była śliska i czarna jak smoła.

Widząc, jak się zbliżają, Alec wiedział, że właściwie już jest

martwy.

Jeszcze raz zebrał w sobie siły i wystrzelił do przodu jak z procy. Wilvoxy były tuż za nim. Chłopak czuł na sobie ich zdesperowane spojrzenie, widział ślinę kapiącą z ich pysków i był pewien, że już za kilka chwil rozerwą go na strzępy. Nie miał żadnej szansy ucieczki. Spojrzał na Marco z nadzieją, że może on ma jakiś plan, nic jednak na to nie wskazywało. Żaden z nich nie miał najmniejszego pojęcia, co teraz zrobić.

Alec zamknął oczy i zrobił coś, czego nigdy przedtem nie robił: pomodlił się. Całe życie przeleciało mu przed oczami i uświadomił sobie, jak bardzo nie chce jeszcze umierać. Nigdy dotąd nie czuł w sobie tak silnego pragnienia życia.

Proszę, Boże, pomóż mi. Po tym, co zrobiłem dla mojego brata, nie pozwól mi tu umrzeć. Nie w tym miejscu, nie od zębisk tych stworzeń. Zrobię, co tylko zechcesz.

Alec otworzył oczy, spojrzał przed siebie i tym razem zauważył drzewo nieco inne od wszystkich. Jego gałęzie były bardziej sękate, a rosły tak wysoko, że mógł je dosięgnąć tylko z podskoku. Nie miał pojęcia, czy Wilvoxy potrafią się wspinać na drzewa, ale nie miał innego wyjścia.

– Tamta gałąź! – krzyknął do Marco, wskazując palcem.

Razem pobiegli w stronę drzewa i kiedy jeden z Wilvoxów był już prawie przy nich, podskoczyli do gałęzi i pociągnęli się na niej wysoko.

Ręce Aleca ślizgały się na ośnieżonym drewnie. Ostatkami sił zdołał się utrzymać i zarzucić na nią nogę. Zaraz potem wskoczył

na następny konar, metr wyżej, na którym czekał już Marco. W życiu tak szybko się na nic nie wspinał.

Wilwoxy doskoczyły do drzewa, warcząc wściekle i rzucając się do ich zwisających nóg. Alec poczuł ich gorący oddech na stopie i dosłownie w ostatniej chwili uchylił ją przed kłami. Napędzani adrenaliną młodzieńcy kontynuowali wspinaczkę tak długo, aż znaleźli się dobre pięć metrów nad ziemią, gdzie w końcu byli bezpieczni.

Alec przywarł mocno do gałęzi i spojrzał w dół, modląc się, by te potwory nie potrafiły łązić po drzewach. Pot spływał mu z czoła, a oddech nadal miał ciężki i nierówny.

Kamień spadł mu z serca, gdy zobaczył, jak wściekle bestie bez powodzenia próbują wdrapać się na pień.

Obydwaj siedzieli teraz na gałęzi i gdy dotarło do nich, że są tu bezpieczni, głośno odetchnęli z ulgą. Ku zaskoczeniu Aleca, Marco nagle wybuchnął histerycznym śmiechem. To był śmiech szaleńca, śmiech ulgi, śmiech człowieka, który został uratowany przed pewną i jakże okrutną śmiercią.

Alec też zaczął się śmiać, choć wiedział, że ich los jeszcze nie jest przesądzony. Tylko tutaj byli bezpieczni, a przecież nie mogli tu zostać na zawsze. To było tylko chwilowe rozwiązanie, które nieznacznie przedłużało ich życie.

– Wygląda na to, że jestem ci coś winien – powiedział Marco. Alec pokręcił głową.

– Jeszcze mi nie dziękuj – odpowiedział Alec.

Wilwoxy warcząc wściekle, przyprowadziły Aleca o gęsą

skórkę. Odruchowo spojrział w górę, chcąc jeszcze dalej uciec od tych potworów. Zastanawiał się też, czy jest stąd jakakolwiek droga ucieczki.

Nagle Alec zastygł w bezruchu. Tuż przed swoją twarzą zobaczył bowiem coś absolutnie przerażającego. Wśród gałęzi ukryte było najohydniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek dotąd widział. Było długie na trzy metry, z ciałem węża, ale z sześcioma parami odnóży zakończonymi długimi pazurami. Łeb miało węgorza i wąskie żółte ślepia, skupione teraz na Alecu. Stwór wygiął swoje cielsko, podpełznął jeszcze bliżej, zasyczał i rozwarł swoje niewiarygodne elastyczne szczęki. Alec nie mógł uwierzyć, jak szeroko zdołał je otworzyć. Z powodzeniem mógł teraz połknąć go całego. A jakby tego było mało, ogon jego zakończony był żądłem, którym w jednej chwili mógł pozbawić życia ich obu.

Gdy bestia rzuciła się do gardła Aleca, ten zareagował odruchowo. Wrzasnął i odskoczył tak gwałtownie, że aż ześlizgnął się z gałęzi. Teraz myślał już tylko o tym, by uciec przed tymi morderczymi kłami, ogromnymi szczękami, pewną śmiercią.

Nawet nie zastanawiał się, co czeka na niego poniżej. Kiedy poczuł, że leci do tyłu, wymachując rękami, zdał sobie sprawę, że ucieka od jednego drapieżnika wprost w szczęki drugiego. Obejrzał się i zobaczył śliniące się Wilvoxy, kłapiące szczękami, i wiedział, że nie pozostało mu już nic innego, jak przygotować się na najgorsze.

Zamienił bowiem jedną śmierć na inną.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdy Kyra przeszła przez bramy Argos i zobaczyła oczy tych wszystkich ludzi skupione na niej, chciała zapaść się pod ziemię ze wstydu. Źle zinterpretowała swoją relację z Theosem. Naiwnie myślała, że mogła go kontrolować – a zamiast tego on ośmieszył ją na oczach tych wszystkich ludzi. Każdy z nich widział jej bezsilność, brak jakiejkolwiek władzy nad smokiem. Teraz była dla nich zwyczajnym wojownikiem – a nawet nie wojownikiem – była zwykłą nastolatką, która uwikłała ich w wojnę, której bez pomocy smoka nie mogli wygrać.

Na dziedzińcu panowała niezręczna cisza. Zastanawiała się, co ci wszyscy mężczyźni teraz o niej myślą? Nie była nawet pewna, co powinna myśleć o sobie. Czyżby Theos nie zjawił się tu dla niej? Czy walczył tu wyłącznie z własnych pobudek? Czy w rzeczywistości nie miała żadnych szczególnych mocy?

Kyrze ulżyło, kiedy mężczyźni spuścili wreszcie wzrok i wrócili do zbierania łupów, do gromadzenia broni, którą walczyć mieli wkrótce na wojnie. Uwijali się jak w ukropie, gromadząc na stosie wszystkie skarby pozostawione przez Gwardię Lorda. Brzęk stali unosił się nad całym dziedzińcem, gdy ludzie rzucali tarcze, zbroje i wszelkiej maści uzbrojenie w jedno miejsce. Zapadał zmrok a z nieba zaczął sypać śnieg, toteż nie mieli zbyt dużo czasu do stracenia.

– Kyra – zabrzmiał znajomy głos.

Odwróciła się i ku swojej ucieście zobaczyła rozpromienioną twarz Anvina. Patrzył na nią z szacunkiem i życzliwością. Podszedł do niej, czule objął ramieniem i uśmiechnął się szeroko, po czym wyciągnął przed siebie lśniący miecz, na którego ostrzu wyryte były symbole Pandezji.

– Od lat nie trzymałem w dłoni tak znakomitej stali – zauważył z szerokim uśmiechem – Dzięki tobie mamy wystarczająco dużo broni, żeby rozpocząć wojnę. Uczyniłaś nas wszystkich o wiele potężniejszymi.

Kyrę ucieszyły te słowa, choć nie pomogły jej pozbyć się uczucia zrezygnowania i zagubienia, które pojawiło się po tym, jak została odtrącona przez smoka. Wzruszyła więc tylko ramionami.

– To nie moja zasługa – odparła – tylko Theosa.

– Ale to dla *ciebie* Theos wrócił.

Kyra rozejrzała się po pustym niebie.

– Nie byłabym tego taka pewna – odpowiedziała w zadumie.

Przez chwilę razem spoglądali w niebo.

– Ojciec na ciebie czeka – odezwał się w końcu Anvin, a głos jego zabrzmiał wyjątkowo poważnie.

Kyra ruszyła za Anvinem przez dziedziniec, omijając leżące na ziemi trupy i krzątających się wokół nich ludzi. Ci mężczyźni pierwszy raz od niepamiętnych czasów wydawali się być rozluźnieni. Widziała jak śmieją się, piją i szturchają przyjacielsko. Zachowywali się jak dzieci w lany poniedziałek.

Dziesiątki mężczyzn stało w rzędzie, przekazując sobie z rąk

do rąk worki ze zbożem i układając je równo na wozach; kolejny zaprzęg, wypełniony po brzegi orężem, przejechał obok nich ze szczękiem. Był tak przepełniony, że co chwila spadały z niego elementy uzbrojenia, które natychmiast zbierali z drogi idący za wozem żołnierze. Gdzie nie spojrzeć toczyły się ciężko powozy, niektóre w drodze powrotnej do Volis, inne zaś w zupełnie innych kierunkach, wskazanych przez jej ojca. Wszystkie zaś wypełnione po brzegi drogocennymi łupami. Widok ten napawał Kyre optymizmem, pozwalając myśleć, że wojna jeszcze nie jest przegrana.

Skrećili za róg i wtedy Kyra dostrzegła swego ojca w towarzystwie grupy wojowników, który dokonywał właśnie inspekcji zarekwirowanej broni. Odwrócił się w jej stronę, gdy do niego podeszła i jednym ruchem ręki nakazał swym ludziom, by zostawili ich samych.

W końcu wymownie spojrzał na Anvina, wyraźnie zaskoczonego tym, że i jego prosi o oddalenie się. Anvin odwrócił się posłusznie, pozostawiając dowódcę samego z córką. Kyre też to zaskoczyło, ponieważ nigdy dotąd nie widziała, by ojciec odsunął Anvina od rozmów.

Kyra spojrzała na niego, jego twarzy była nieprzenikniona, zdystansowana. Taką postawę dowódcy przyjmował zawsze wśród swych ludzi. Ukrywał wtedy ciepłe oblicze ojca, jakie znała i kochała. Spojrzał na nią, a ona poczuła jak tysiące nerwowych myśli przebiega przez jej głowę: Czy był z niej dumny? A może był wściekły za to, że rozpętała tą wojnę?

Czy był rozczarowany tym, że Theos wzgardził nią i opuścił ich armię?

Kyra czekała cierpliwie, przyzwyczajona do jego długiego milczenia przed rozmową. Niczego nie była już pewna; zbyt dużo się między nimi zmieniło. Czuła się tak, jakby z dnia na dzień wydorosłała. On też nie był już taki jak kiedyś. Miała wrażenie, że stali się dla siebie bardziej obcy, że nie potrafili już ze sobą rozmawiać. Czy nadal był tym ojcem, którego znała i kochała, który długimi godzinami czytał jej do snu? A może teraz był już tylko jej dowódcą?

Stał tam, wpatrując się w nią i wtedy zrozumiała, że nie wiedział, jak przerwać tę ciszę, ciszę, którą przecinał teraz tylko porywisty wiatr. Gdy mężczyźni zaczęli zapalać pochodnie, a światło z nich bijące oświetliło zadumaną twarz ojca, Kyra nie wytrzymała już dłużej.

– Zabierzesz to wszystko z powrotem do Volis? – zapytała, gdy wóz wypełniony po brzegi mieczami przejechał obok nich.

Odwrócił się, wyrwany nagle ze swych myśli i nie odrywając wzroku od toczącego się wozu, pokręcił głową.

– W Volis nie czeka już na nas nic, prócz śmierci – oznajmił głębokim, zdecydowanym głosem – Teraz kierujemy się na południe.

Kyra była zaskoczona.

– Na południe? – zapytała.

Przytaknął.

– Do Esephus – dodał.

Serce Kyry zalała fala podniecenia, gdy wyobraziła sobie wyprawę do Esephus, ich największego sąsiada na południu, starożytnej twierdzy wzniesionej nad samym morzem. Najbardziej jednak ekscytujące było to, że owa wyprawa mogła oznaczać tylko jedno – powszechną mobilizację ich wojsk.

Skinął głową, jakby czytał w jej myślach.

– Nie ma już dla nas odwrotu – powiedział.

Kyra od lat nie była tak dumna z ojca. Przestała postrzegać go, jako zadowolonego z siebie wojownika, wiodącego spokojne życie w zaciszu bezpiecznych murów fortu. Znów był tym samym odważnym dowódcą, gotowym poświęcić wszystko dla wolności, którego niegdyś знаła.

– Kiedy wyruszamy? – zapytała podekscytowana, nie mogąc się już doczekać.

Jakież było jej zdziwienie, gdy zobaczyła, że ojciec kręci tylko głową.

– Nie my – poprawił ją – Ja i moi ludzie. Ty nie.

Te słowa przebiły serce Kyry niczym sztylet.

– Chcesz mnie tu zostawić? – wyjąknęła – Po tym wszystkim, co tu zaszło? Co jeszcze muszę zrobić, by udowodnić ci swoją wartość?

Znowu potrząsnął stanowczo głową. Była zdruzgotana widząc jego stanowcze, zimne spojrzenie. Wiedziała już, że się nie ugnie.

– Ty udasz się do swego wuja – zdecydował. Nie miała wątpliwości, że to było polecenie, a nie prośba. To też pokazało,

kim teraz dla niego jest – żołnierzem, nie zaś córką. Dotknęło ją to do żywego.

Kyra wzięła głęboki oddech – nie miała zamiaru tak łatwo odpuścić.

– Chcę walczyć z tobą ramię w ramię – upierała się – Mogę ci pomóc.

– Pomożesz mi – powiedział – udając się tam, gdzie jesteś najbardziej potrzebna. A jesteś potrzebna właśnie przy tam, przy wuju.

Zmarszczyła brwi, starając się zrozumieć.

– Ale dlaczego? – zapytała niepewnie.

Milczał przez długi czas, aż w końcu westchnął.

– Posiadasz ... – zaczął – ... pewne *zdolności*, których ja nie rozumiem. Zdolności, bez których nie wygramy tej wojny. Zdolności, w rozwijaniu których tylko twój wuj będzie potrafił pomóc. Wyciągnął rękę i położył na jej ramieniu.

– Jeśli chcesz nam pomóc – kontynuował – jeśli chcesz pomóc naszym ludziom, musisz zrobić to, co do ciebie należy. Nie potrzebuję kolejnego żołnierza – potrzebuję wyjątkowych mocy, które tylko ty możesz nam zaoferować. Zdolności, które tylko ty posiadasz.

Kyra dostrzegła gorliwość płonącą w jego oczach i pomimo smutku, który odczuwała na myśl o tym, że nie będzie mogła mu towarzyszyć w wyprawie, jego słowa dodały jej otuchy, a nawet wzbudziły pewną ciekawość. Zastanawiała się, jakie zdolności mógł mieć na myśli. Chciała też dowiedzieć się, kim był jej

wujek.

– Idź i posiadź wiedzę i umiejętności, których ja nie mogę ci przekazać – powiedział uroczyście – Wracaj do nas silniejsza, by pomóc nam wygrać tę wojnę.

Kyra spojrzała w jego pełne szacunku i ciepła oczy i znowu poczuła się mu bliska.

– Żeby dostać się do Ur, będziesz musiała przebyć daleką drogę – dodał – to dobre trzy dni jazdy na północny zachód. Będziesz musiała samotnie przemierzyć Escalon. Jedź szybko, bocznymi drózkami i co najważniejsze, cały czas miej się na baczności. Wieść o tym, co tu zaszło, szybko się rozniesie, prowadzając na nas gniew wszystkich Lordów Pandezji. Główne trakty będą bardzo niebezpieczne – lepiej trzymaj się leśnych ścieżek. Kieruj się na północ, w stronę morza, a gdy do niego dotrzesz, kontynuuj wzdłuż wybrzeża, aż dotrzesz do Ur. Trzymaj się z dala od wsi, z dala od ludzi. Nie zatrzymuj się. Nie mów nikomu, dokąd zmierzasz. W ogóle z nikim nie rozmawiaj.

Chwycił ją mocno za ramiona, jakby chciał się upewnić, że trafia do niej każde jego słowo.

– Zrozumiałaś mnie? – spytał błagalnym głosem – Ta podróż byłaby śmiertelnie niebezpieczna nawet dla dorosłego mężczyzny, a co dopiero dla młodej dziewczyny. Niestety, nie mogę dać ci eskorty. Musisz być na tyle silna, by przebyć tą drogę sama. Czy jesteś na to gotowa?

Jego oczy wypełniał strach i troska o jej życie.

– Jestem, Ojciec – odpowiedziała z dumą.

Przyjrzał się jej uważnie, w końcu skinął głową, rad z jej odpowiedzi. Powoli jego oczy napełniły się łzami.

– Spośród wszystkich moich ludzi – powiedział – spośród tych wszystkich dzielnych wojowników, ty jesteś potrzebna mi najbardziej. Nie twoi bracia, nie nawet moi zaufani żołnierze. Ty jedna możesz wygrać tę wojnę.

Kyra czuła się zagubiona i przytłoczona tym wszystkim; nie była do końca pewna, co ojciec miał na myśli. Otworzyła usta, by dopytać go, gdy nagle poczuła, że ktoś się zbliża.

Odwróciła się i zobaczyła szeroki uśmiech Baylora, głównego koniuszego w stajniach jej ojca. Niewysoki mężczyzna z wyraźną nadwagą, grubymi brwiami i zmierzwionymi włosami podszedł do nich i spojrzał na jej ojca, jakby w oczekiwaniu na przyzwolenie.

Ojciec skinął na niego, a ten zwrócił się do Kyry i zaczął:

– Powiedziano mi, że wyruszasz w długą i wyczerpującą podróż – powiedział Baylor nosowym głosem – Do tego trzeba ci będzie konia.

Kyra zmarszczyła brwi, zdezorientowana.

– Mam konia – odparła, spoglądając na białego ogiera, którego dosiadała podczas bitwy z Gwardią Lorda.

Baylor uśmiechnął się.

– To nie jest koń – powiedział.

Baylor spojrzał na ojca, a ten skinął na niego głową porozumiewawczo. Kyra nadal nie rozumiała, co się dzieje.

– Idź za mną – powiedział, i nie tracąc ani chwili dłużej,

odwrócił się na pięcie i ruszył do stajni.

Kyra patrzyła na niego jak odchodzi, zdezorientowana, po czym spojrzała na ojca. Ten uśmiechnął się tajemniczo.

– Idź za nim – powiedział – Nie pożalujesz.

*

Kyra przeszła z Baylorem przez zaśnieżony dziedziniec. Po drodze dołączyli do nich Anvin, Arthfael i Vidar, wszyscy razem skierowali swe kroki ku kamiennym stajniom. Maszerując dziarsko, Kyra zastanawiała się, co Baylor miał na myśli, jakiegoż to konia dla niej przygotował.

Gdy zbliżyli się do rozległych kamiennych stajni, ciągnących się przez co najmniej sto metrów, Baylor spojrzał na nią z zachwytem w oczach.

– Córka naszego Dowódcy będzie potrzebowała najznakomitszego konia, by zabrał ją tam, dokąd zmierza.

Serce Kyra zaczęło bić szybciej; nigdy dotąd nie dostała konia od Baylora. Zaszczyt ten spotykał wyłącznie najznamienitszych wojowników. Zawsze marzyła o tym, że pewnego dnia, gdy będzie już wystarczająco duża i kiedy na to zasłuży, Baylor wybierze dla niej rumaka. To był zaszczyt, którego nie dostąpili nawet jej bracia.

Anvin pękał z dumy.

– Zasłużyłaś na to – powiedział.

– Jeśli radzisz sobie ze smokiem – dodał Arthfael z

uśmiechem – poradzisz sobie i z ogierem.

Gdy tak szli wzdłuż stajni, wokół nich zaczął zbierać się coraz większy tłum mężczyzn, wyraźnie zaintrygowanych tym, dokąd prowadzą dziewczynę. Wśród nich byli też jej dwaj starsi bracia, Brandon i Braxton, którzy zerkali na Kyrę zazdrośnie. Szybko jednak odwracali wzrok, zbyt zadufani w siebie, by zdobyć się na jakikolwiek gest uznania. Cóż, Kyra nie mogła spodziewać się po nich niczego innego.

Wtedy dostrzegła swą przyjaciółkę, Dierdre, zbliżającą się do niej.

– Słyszałem, że odchodzisz – powiedziała Dierdre, gdy znalazła się tuż przy Kyrze.

Bliskość nowej przyjaciółki dodawało Kyrze otuchy. Wróciła myślami do ich wspólnych chwil w celi Lorda Gubernatora, do cierpień, które udało im się przetrwać dzięki wzajemnemu wsparciu, i do ucieczki. Poczuła, że łączy ją z Dierdre niezwykle silna więź. Kyra zastanawiała się, co się stanie z tą biedną dziewczyną, po jej odejściu. Uświadomiła sobie, że nie może jej tak po prostu zostawić w tym forcie. Z armią wyruszającą na południe, Dierdre zostałaby tu zupełnie sama.

– Przydałaby mi się towarzyszka podróży – powiedziała Kyra i od razu zaczęła obmyślać pewien plan.

Dierdre spojrzała na nią zaskoczona, by już w następnej chwili rozpromienić się w uśmiechu.

– Miałam nadzieję, że to powiesz – przyznała.

Anvin, słysząc to, zmarszczył brwi.

– Nie wiem, czy twój ojciec to pochwali – wtrącił – to są bardzo poważne sprawy.

– Nie będę przeszkadzać – przekonywała Dierdre – I tak muszę przejechać cały Escalon by powrócić do swego domu. Wolałbym nie jechać sama.

Anvin potarł brodę.

– Twojemu ojcu się to nie spodoba – ostrzegł Kyre – Ona może być dla ciebie dodatkowym ciężarem.

Kyra spojrzała na niego zbulwersowana.

– Dierdre jest moją przyjaciółką – powiedziała zdecydowanie – Nie porzucę jej, tak jak ty nie porzuciłbyś swoich ludzi. Czego zawsze mnie uczyłeś? *Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.*

Kyra westchnęła.

– Może i pomogłam jej uciec z tej celi – dodała Kyra – ale i ona uratowała mnie. Jestem jej to winna. Przykro mi, ale to, co myśli na ten temat mój ojciec, nie ma tu wielkiego znaczenia. To ja mam przemierzyć cały Escalon, nie on. Zabieram ją ze sobą.

Dierdre była szczerze wzruszona jej słowami. Podeszła do Kyry i objęła ją czule. Kyra nie miała najmniejszych wątpliwości co do tego, że podjęła właściwą decyzję. Towarzystwo przyjaciółki w czasie tej trudnej podróży bardzo jej się przyda.

Kyra zauważyła swych braci przechodzących nieopodal i nie mogła przestać myśleć o tym, jak bardzo się na nich zawiodła. Oni w ogóle nie przejmowali się jej bezpieczeństwem, nawet przez myśl im nie przeszło, by zaoferować jej swoją pomoc; najwyraźniej nie widzieli w niej nic, poza konkurencją. Było

jej przykro, że takie relacje łączą ją z braćmi, nie potrafiła jednak tego zmienić. Może to i lepiej, pomyślała. Oni byli pełni brawury, lekkomyślni, na pewno wpędziliby ją w nie lada kłopoty.

– Ja również chciałbym ci towarzyszyć – powiedział wreszcie Anvin głosem pełnym poczucia winy – Wizja ciebie przemierzającej samotnie całe Escalon wcale mi się nie podoba – westchnął ciężko – Ale twój ojciec potrzebuje mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek. Poprosił mnie bym wyruszył z nim na południe.

– Ja również – zawtórował mu Arthfael – chętnie bym z tobą poszedł, zostałem jednak przydzielony do oddziału idącego na południe.

– Ja natomiast mam zostać tutaj, by strzec Volis podczas jego nieobecności – dodał Vidar.

Kyra była poruszona ich szczerą chęcią pomocy.

– Nie martwcie się – odpowiedziała – Od Ur dzieli mnie zaledwie trzy dni drogi. Nic mi nie będzie.

– Jestem co do tego przekonany – wtrącił Baylor, podchodząc bliżej – A by uczynić twą podróż lżejszą, czas wybrać dla ciebie nowego konia.

Z tymi słowami Baylor otworzył szeroko drzwi do stajni, uwalniając z niej ciężkie powietrze, przesiąknięte zapachem koni. Baylor wszedł pierwszy do niskiego budynku, a za nim podążyła reszta.

Oczy Kyry powoli przyzwyczajały się do półmroku. W

stajniach panowała wilgoć i chłód. Konie rżały i uderzały kopytami w boksy, podekscytowane obecnością człowieka. Kyra była urzeczona. W boksach stały najpiękniejsze konie, jakie kiedykolwiek dotąd widziała – czarne i brązowe, wielkie, silne, majestatyczne rumaki. Prawdziwy skarb.

– Gwardia Lorda wiedziała, co dobre – Baylor ocenił wprawnym okiem, mijając kolejne wierzchowce. Wreszcie był w swoim żywiole. Głaskał i poklepywał konie, jakby witał się z najlepszymi przyjaciółmi.

Kyra szła powoli, chłonąc atmosferę tego miejsca. Każdy koń był jak dzieło sztuki; potężne istoty, od których biło piękno i siła.

– Dzięki tobie i twojemu smokowi, te konie są teraz nasze – powiedział Baylor z satysfakcją – Dlatego też masz pierwszeństwo w wyborze, nawet przez swoim ojcem.

Kyra była przytłoczona wyborem. Czuła na sobie wielki ciężar odpowiedzialności, wiedziała bowiem, że taka szansa może się już nigdy nie powtórzyć.

Szła powoli wzdłuż stajni, przystając przy każdym koniu, głaszcząc ich lśniące grzywy, czując ich aksamitną sierść pod palcami. Każde z tych zwierząt było wyjątkowe na swój sposób. Zupełnie nie potrafiła podjąć ostatecznej decyzji.

– Skąd mam wiedzieć, którego wybrać? – zapytała Baylora. Ten uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Trenowałem konie przez całe swoje życie – zaczął – Dbałem o nie, jak o swoje własne dzieci. Jeśli jest jedna rzecz, którą wiem na pewno to to, że nie ma dwóch takich samych koni.

Niektóre z nich hodowane są dla swej prędkości, inne dla wytrzymałości; niektóre stworzone są do przewożenia ciężkich ładunków, inne są zbyt dumne by dać się zaprząć do wozu. Są też takie, które trenowane są do walki. Jedne sprawdzają się najlepiej w pojedynkach inne zaś w wielkich bitwach. W niektórych z nich znajdziesz przyjaciela na zawsze, inne prędzej czy później zwrócą się przeciwko tobie. Twój związek z koniem to rzecz święta. Musisz go do siebie przywołać, a i on musi ciebie zaakceptować. Wybierz dobrze, a twój koń nigdy cię nie opuści, ani w czasach pokoju, ani wojny. Każdy szanujący się wojownik powinien mieć swojego rumaka.

Kyra szła powoli, serce biło jej mocniej z podniecenia, gdy mijała jednego konia za drugim. Niektóre z nich patrzyły prosto na nią, inne odwracały wzrok, część z nich rżała i uderzała kopytami o deski, inne zaś stały prawie bez ruchu. Czekwała, aż z którymś z nich połączy ją jakaś specjalna więź. Żaden z nich nie wydał jej się jednak wyjątkowy. Z każdym kolejnym boksem była coraz bardziej zrezygnowana.

Nagle Kyra poczuła, jak przez całe jej ciało przechodzi dreszcz, jakby strzelił w nią piorun. Uczucie to wywołał dźwięk, który rozniósł się echem po całej stajni, dźwięk, który zaprowadzić miał ją do *jej* konia. Nie były do odgłosy wydawane przez zwykłego konia – te dźwięki były o wiele mroczniejsze, potężniejsze. Brzmiały, jakby dziki lew próbował uwolnić się z klatki. Przerażały ją, ale i przyciągały jak magnes.

Kyra zwróciła się w stronę ich źródła i w tej właśnie chwili

usłyszała trzask pękającego drewna. Zobaczyła jak drewniane drzwi do boksu roztrzaskują się pod niewiarygodnie silnym uderzeniem i jak kilkoro mężczyzn biegnie w tamtą stronę, by zaryglować połamane wrota. Koń ani na chwilę nie przestawał taranować ich swoimi kopytami.

Kyra pospieszyła w stronę zamieszania.

– Dokąd idziesz? – zapytał zdeorientowany Baylor – najlepsze wierzchowce są tutaj.

Ale Kyra była głucha na jego słowa. Serce biło jej coraz szybciej, gdy zbliżała się do boksu. Wiedziała, że tam czeka jej przeznaczenie.

Baylor i inni pognali za nią. Gdy ja dogonili, ona stała już przed popękkanymi drzwiami do boksu i gapiła się w jego wnętrze jak zaczarowana. Obraz, który tam zobaczyła, przerósł jej najśmielsze oczekiwania. W środku stało coś na kształt konia, lecz dwa razy większe od niego, z nogami grubymi jak pnie drzew. Na łbie miało dwa małe, ale ostre jak brzytwa rogi, ledwo widoczne za uszami. Jego sierść nie była brązowa czy czarna, jak innych koni, tylko szkarłatna; jego ślepie zaś błyszczały na zielono. Patrzył prosto na nią, a intensywność jego spojrzenia zapierała jej dech w piersiach. Kyra osłupiała z wrażenia.

Górujące nad nią stworzenie, wydało z siebie odgłos niczym warknięcie i ukazało imponujące kły.

– Co to za koń – zapytała Baylora niemalże szeptem.

Ten pokręcił głową z dezaprobatą.

– To nie jest koń – zmarszczył brwi – ale dzika bestia.

Rzadko spotykany wybryk natury. Solzor. Prawdopodobnie przywieziono go z dalekich zakątków Pandezji. Lord Gubernator musiał go tu trzymać jako trofeum. Nie mógł jeździć na tej bestii – nikt by nie mógł. Solzory to dzikie stwory, nie dają się oswoić. Chodź – tracimy tu tylko cenny czas. Wracajmy do koni.

Ale Kyra stała tam jak wryta, nie mogąc oderwać on niego wzroku. W głębi duszy wiedziała, że jest jej przeznaczony.

– Wybieram tego – powiedziała do Baylora.

Baylorowi i innym odebrało mowę. Patrzyli na nią tak, jakby postradała zmysły.

– Kyra – zaczął po chwili Anvin – twój ojciec nigdy się na to nie zgodzi.

– To miał być mój wybór, prawda? – odpowiedziała.

Anvin skrzywił się i wsparł ręce na biodrach.

– To nie jest koń! – upierał się – To jakaś dzika bestia.

– Gotowa cię zabić w każdej chwili – dodał Baylor.

Kyra odwróciła się do niego.

– Czy to nie ty mówiłeś, żebym zaufała swojemu instynktowi?
– spytała – Otóż mój instynkt doprowadził mnie właśnie tutaj.
To zwierzę i ja należymy do siebie.

Nagle Solzor stanął dęba, po czym z ogromną siłą uderzył w drewniane drzwi, roztrzaskując je na wiór. Mężczyźni rozbiegli się po kątach, Kyra zaś stała bez ruchu w pełnym zachwycie. Dzikie i nieokiełznane zwierzę, zbyt potężne by trzymać je w niewoli, zbyt dumne.

– Dlaczego ona ma go dostać? – zapytał Brandon, występując

przed szereg – Jestem od niej starszy, to ja powinienem go mieć.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Brandon rzucił do przodu, z zamiarem wskoczenia mu na grzbiet. A gdy tylko to uczynił, Solzor wybił się z tylnych nóg tak gwałtownie, że chłopak przeleciał na drugą stronę stajni, rozbijając się z hukiem o ścianę.

Wtedy Braxton ruszył w kierunku Solzora, a gdy tylko do niego podszedł, ten odwrócił pysk i w jednej chwili rozharatał jego ramię swoimi ostrymi kłami.

Krwawiąc obficie, Brandon wrzasnął i uciekł ze stajni, ściskając się za rękę. Braxton też podniósł się na równe nogi i ruszył w te pędy za bratem, cudem unikając czyhających na niego zębów Solzora.

Kyra stała jak sparaliżowana, choć z jakiegoś powodu wcale nie była wystraszona. Wiedziała, że w stosunku do niej będzie zachowywał się inaczej. Czuła, że łączyła ich swoista więź, podobna do tej, którą miała z Theosem.

Wtedy Kyra śmiało postąpiła na przód i zatrzymała się tuż przed zwierzęciem, na tyle blisko, bo być w zasięgu jego kłów. Chciała pokazać Solzorowi, że darzy do zaufaniem.

– Kyra – krzyknął przerażony Anvin – Wracaj tu natychmiast!

Ale Kyra go nie słuchała. Stała tam, wpatrując się w oczy bestii.

On też na nią patrzył, a z gardła jego wydobywało się stłumione warczenie, jakby nie był pewien, co zrobić. Kyra drżała ze strachu, ale nie chciała, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

Za wszelką cenę chciała udowodnić swoją odwagę. Powoli uniosła dłoń, zrobiła krok do przodu, i dotknął jego szkarłatnej sierści. Warknął głośniej, pokazując kły, a ona poczuła jego gniew i frustrację.

– Rozkujcie jego łańcuchy – rozkazała.

– Że co!?! – zdziwił się jeden z ludzi.

– To nie jest zbyt mądre – ostrzegł ją Baylor.

– Zróbcie, co mówię! – upierała się Kyra, czując rosnącą w sobie siłę, jakby przemawiało przez nią to zwierzę.

Żołnierze niechętnie posłuchali rozkazu. Przez ten cały czas bestia ani na chwilę nie odrywała od dziewczyny swoich wściekłych oczu, jakby oceniając ją, chcąc ją onieśmielić.

Gdy tylko zwierzę zostało odkute, wierzgnęło nerwowo, jakby chciało zaatakować.

O dziwo jednak nie zrobiło tego. Wręcz przeciwnie, ślepiec jego, które do tej pory wyrażały tylko gniew, teraz powoli złagodniały. Pojawiło się w nich nawet coś na kształt wdzięczności.

Wtedy prawie niezauważalnie Solzor pochylił swój łeb. Gest ten był tak subtelny, że chyba nikt poza Kyra go nie dostrzegł. Jej to jednak wystarczyło.

Kyra podeszła do jego boku, złapała za grzywę i jednym sprawnym susem wskoczyła mu na grzbiet.

Odgłosy zdumienia wypełniły stajnię.

Początkowo zwierzę zaczęło wierzgać i rzeć niespokojnie, Kyra czuła jednak że robi to na pokaz. Tak naprawdę nie chciał

jej z siebie zrzucić – była to raczej demonstracja siły, swego rodzaju przestroga. Chciał, żeby wiedziała, że nikomu nie da się ujarzmić, że jest dziką, wolną istotą.

Nie chcę cię ujarzmić, powiedziała w myślach, pragnę tylko byśmy byli partnerami w walce.

Solzor uspokoił się nieco, jakby słysząc w głowie jej słowa. Po chwili zupełnie przestał brykać i tylko powarkiwiał groźnie na innych, jakby chcąc zaznaczyć, że od teraz on się nią zaopiekuje.

Kyra, siedząc wysoko na jego grzbiecie, spoglądając w dół na zszokowane twarze zebranych tam mężczyzn, uśmiechnęła się szeroko i wyprężyła z dumą pierś.

– To jest mój wybór – powiedziała władczo – A jego imię brzmi Andor.

*

Gdy Kyra jechała wierzchem na Andorze przez dziedziniec, wszyscy zebrani tam mężczyźni, zaprawieni w bojach wojownicy, przerywali swoje zajęcia i gapili się z otwartymi ustami na tą osobliwą parę. Ponad wszelką wątpliwość nigdy wcześniej nie widzieli czegoś podobnego.

Kyra klepała Solzora lekko po szyi, starając się go uspokoić, gdy ten warczał na gapiów, jakby żywił do nich urazę za przetrzymywanie go w niewoli. Kyra poprawiła pozycję w nowiutkim, skórzanym siodle, które podarował jej Baylor, próbując przywyknąć do jazdy tak wysoko nad ziemią. Siedząc

na tym potężnym zwierzęciu, czuła się niepokonana.

Szlachetną klacz, kroczącą dumnie obok nich, dosiadała Dierdre. Dziewczęta jechały ramię w ramię przez zaśnieżony dziedziniec w stronę bram, gdzie czekał już na nie ojciec Kyry. Stał otoczony swą świtą, pragnąc pożegnać córkę przed jej odjazdem. W oczach jego i zebranych tam ludzi widać było podziw i szacunek. Dodało jej to otuchy i wiary w powodzenie jej misji. Jeśli nawet Theos nigdy by już do niej nie wrócił, wiedziała, że na to wspaniałe zwierzę od teraz zawsze będzie mogła liczyć.

Gdy podjechały do ojca, Kyra zeskoczyła z Andora i podprowadziwszy go bliżej, dostrzegła na twarzy ojca wyraz niepokoju. Nie była pewna, czy wywołał go Solzor czy raczej myśl, że to może być ich ostatnie spotkanie. Uświadomiła sobie wtedy, że nie tylko ona jest pełna obaw i że mimo wszystko ojciec martwi się o nią. Na ułamek sekundy pozwolił sobie opuścić gardę i rzucił jej takie spojrzenie, które tylko ona mogła rozpoznać: spojrzenie pełne ojcowskiej miłości.

Zatrzymała się tuż przed nim, patrząc mu głęboko w oczy. Wokół nich zapadła cisza.

Twarz Kyry rozpromieniła się w słodkim uśmiechu.

– Nie martw się, ojcze – powiedziała do niego – wychowałeś mnie na silną kobietę.

Skinął głową, udając, że jej słowa uspokoiły go. Żadne jednak nie mogły sprawić, by przestał bać się o życie córki.

Spojrzał w górę, rozglądając się po niebie.

– Gdyby tylko twój smok wrócił teraz po ciebie – powiedział – Mogłabyś przebyć całe Escalon w zaledwie kilka minut. Albo lepiej – mógł towarzyszyć ci w podróży i zamieniać w popiół każdego, kto by śmiał się do ciebie zbliżyć.

Kyra uśmiechnęła się smutno.

– Theos odszedł, ojcze.

Spojrzał na nią oczami pełnymi zdumienia.

– Na zawsze? – zapytał drżącym głosem. Jako wódz prowadzący swych ludzi na wojnę, musiał to wiedzieć.

Kyra zamknęła oczy, próbując zestroić się ze smokiem, by uzyskać do niego odpowiedź. Pragnęła by Theos do niej przemówił.

Ku swej rozpaczy, nie usłyszała jednak w głowie jego głosu. Nie była już nawet pewna, czy kiedykolwiek potrafiła porozumiewać się z Theosem, czy może tylko to sobie wyobraziła.

– Nie wiem, ojcze – odparła szczerze.

Skinął głową na znak, że rozumie. Życie nauczyło go przyjmować rzeczy takimi, jakimi są i polegać wyłącznie na sobie.

– Pamiętaj, co ci... – zaczął ojciec.

– KYRA! – radosny krzyk przeciął powietrze, nie pozwalając ojcu dokończyć myśli.

Kyra odwróciła się natychmiast i ku swej ogromnej uciechy, w bramie miasta ujrzała Aidana, który zeskoczył właśnie z wozu i próbując nie wyłożyć się na śniegu, biegł jak na skrzydłach w

jej stronę. Pierwszy jednak doskoczył do niej Leo, powalając ją na ziemię i liżąc po całej twarzy.

Widząc to, Andor warknął nerwowo, jakby chciał go odgonić. Wilk zerwał się natychmiast i doskoczył do niego, szczerząc groźnie kły. Oto dwa nieustraszone stworzenia, gotowe walczyć o nią – Kyra poczuła się zaszczycona.

Nie czekając jednak na rozwój sytuacji, zerwała się na równe nogi i stanęła między nimi, przytrzymując Leo.

– W porządku, Leo, Andor jest teraz z nami – powiedziała, po czym odwróciła się do Andora – a to jest Leo, mój wierny przyjaciel.

Wilk wycofał się niechętnie. Andor nie przestawał warczeć, choć teraz spuścił jakby z tonu.

– Kyra!

Kyra odwróciła się i w tej samej chwili Aidan wpadł jej w ramiona. Pochyliła się i zaczęła tulić go mocno do siebie. Jakież to było wspaniałe uczucie, mieć go znowu przy sobie. Był jedynym powiewem normalności w jej szalonym życiu, jedyną rzeczą, która się nie zmieniła.

– Jak tylko usłyszałem, że tu jesteś – powiedział w pośpiechu – poprosiłem żołnierzy by mnie do ciebie zabrali. Jestem taki szczęśliwy, że wróciłaś.

Uśmiechnęła się smutno.

– Obawiam się, że nie na długo, braciszku – powiedziała. Jego twarz natychmiast spowaźniała.

– Odchodzisz? – zapytał zbity z tropu.

– Wyjeżdża, by spotkać się ze swoim wujem – wtrącił się ojciec – Musi zaraz ruszać w drogę.

To, że ojciec nazwał go *jej* wujem, przykuło uwagę Kyry. Ciekawa była dlaczego.

– Zatem mógłbym pojechać razem a nią – powiedział Aidan przekonany, że to wspaniały pomysł.

Ojciec pokręcił głową.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – odpowiedział.

Kyra uśmiechnęła się do brata. Zawsze był gotów ją wspierać.

– Ojciec potrzebuje cię gdzie indziej – powiedziała z całą powagą.

– Na froncie? – spytał Aidan, zwracając się do ojca z nadzieją – Wyruszacie to Esephusu – dodał śpiesznie – Słyszałem! Chcę, jechać z wami!

Ale on znowu pokręcił głową.

– Twoje miejsce jest w Volis – odpowiedział stanowczo – Zostaniesz tam, gdzie będziesz bezpieczny wśród moich ludzi. Pole bitwy to nie miejsce dla ciebie. Jeszcze nie teraz.

Aidan cały aż poczerwieniał ze złości.

– Ale ojcze, ja chcę walczyć! – zaprotestował – Nie chcę zostawać w jakimś zabitym dechami forcie z kobietami i dziećmi!

Ludzie ojca parsknęli śmiechem, ojciec jednak pozostał poważny.

– Taka jest moja decyzja – odpowiedział krótko.

Aidan zmarszczył brwi.

– Jeśli nie mogę dołączyć do Kyry, ani nie mogę jechać z tobą – powiedział, nie chcąc dać za wygraną – to po co te wszystkie nauki o wojnie, ćwiczenia z bronią? Na co to wszystko?

– Niech ci najpierw wyrosną włosy na kłacie, braciszku – roześmiał się Braxton, podchodząc bliżej, Brandon obok niego.

Wszyscy wybuchli gromkim śmiechem, a Aidan poczerwieniał ze wstydu.

Kyra posłała Braxtonowi piorunujące spojrzenie, po czym uklękła przed Aidanem i położyła mu dłoń na policzku

– Będiesz największym wojownikiem z tej całej zgrai – wyszeptła do niego – Bądź cierpliwy. W międzyczasie czuwać nad Volis. Jesteś tam potrzebny. Spraw, żebym była z ciebie dumna. Wróć, obiecuję, i pewnego dnia będziemy walczyć w wielkich bitwach, ramię w ramię.

Aidana pocieszyły trochę te słowa, pochylił się więc i znowu mocno ją przytulił

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała – powiedział cicho – Miałem sen o tobie. Śniło mi się ... – Spojrzał na nią niechętnie, a oczy miał pełne strachu. – ... Że tam zginiesz.

Kyrę zszokowały jego słowa. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Anvin podszedł do nich i okrył jej ramiona grubymi futrami; wstała i natychmiast poczuła się pięć kilogramów cięższa, ale przynajmniej nie czuła już przeszywającego wiatru i chłodu na karku. Uśmiechnął się.

– Noce będą długie, a Płomienie daleko – powiedział i objął ją szybko.

Ojciec zbliżył się do niej i mocno przytulił do serca. W jego silnych ramionach czuła się taka bezpieczna.

– Jesteś moją córką – powiedział stanowczo – nie zapominaj o tym. – Potem ściszył głos tak, by inni nie mogli słyszeć i dodał – Kocham cię.

Słowa te wzruszyły ją do głębi, ale zanim zdążyła coś odpowiedzieć, szybko odwrócił się i odszedł. W tej samej chwili Leo zaskomlał i wskoczył na nią, trącąc ją nosem w piersi.

– On chce z tobą iść – zauważył Aidan – Weź go. Ty będziesz go bardziej potrzebować, niż ja za zatrzaśniętymi okiennicami Volis. Poza tym, on i tak jest twój.

Kyra przytuliła Leo. Wiedziała, że nie może odmówić – on i tak nie pozwoliłby jej bez siebie odejść. Cieszyła się, że wierny przyjaciel będzie towarzyszył jej w podróży, zwłaszcza że bardzo się już za nim stęskniła. A dodatkowa para uszu i oczu też na pewno jej się przyda.

Gotowa do drogi, wdrapała się na Andora i ruszyła przez most, wzdłuż którego stali mężczyźni z pochodniami w dłoniach, oddający jej honory. Spojrzała w dal, na czekające tam na nią dzikie bezdroża. Czuła podniecenie, strach, ale przede wszystkim, poczucie obowiązku. Przeznaczenia. Oto wyruszała w najważniejszą misję swojego życia, misję, od której powodzenia zależał nie tylko jej los ale i los wszystkich mieszkańców Escalonu. To była gra o najwyższą stawkę.

Wyruszała w długą i niebezpieczną podróż ze swą pałką przewieszoną przez jedno ramię, łukiem przewieszonym przez

drugie ramię, Leo i Dierdre przyboku i Andorem pod sobą. Jechała powoli, pomiędzy pochodniami, mijając salutujących jej ludzi i czuła się tak, jakby wyruszała po swoje przeznaczenie. Pełna determinacji nie oglądała się za siebie. Wtem za jej plecami rozległ się pożegnalny dźwięk rogu, dźwięk pełen szacunku i podziwu.

I już miała popędzić Andora łydką, gdy ten, czytając jej jakby w myślach, ruszył najpierw klusem by już po chwili przejść w szaleńczy galop.

Kyra pędziła teraz poprzez zaśnieżony krajobraz, zimny wiatr hulał w jej włosach, a przed nią długa i trudna droga, dzikie zwierzęta i zapadająca noc.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Merk biegł ile tylko sił w nogach przez gęstwiny Białego Lasu, potykając się co i rusz o wystające korzenie. Pędził w stronę unoszących się w oddali pióropuszy ciemnego dymu, przysłaniających krwawoczerwony zachód słońca. Czuł, że jeśli się nie pośpieszy, wkrótce będzie za późno. Wiedział, że gdzieś tam czeka na niego młoda dziewczyna, która bez jego pomocy już wkrótce będzie martwa.

Mimo usilnych prób, Merk nie mógł przestać zabijać; Śmierć czekała na niego za każdym zakrętem, każdego dnia – tak jak na innych mężczyzn czekał w domu ciepły posiłek. *Miał randkę ze śmiercią*, jak mawiała jego matka. Te słowa często pobrzmiwały w jego głowie, prześladowały go przez większość jego życia. Czy jej słowa były samospełniającą się przepowiednią? Czy może urodził się pod ciemną gwiazdą?

Zabijanie było naturalną częścią życia Merka, jak oddychanie czy jedzenie. Im dłużej o tym myślał, tym większe czuł do siebie obrzydzenie. I mimo swego ogromnego pragnienia, by rozpocząć swe życie na nowo, mimo usilnych starań zerwania z zabijaniem, z jakiegoś powodu nie mógł tego zrobić. Śmierć po raz kolejny wzywała go do siebie, nie pozwalając mu zawrócić, by kontynuować pielgrzymkę do Wieży Ur.

Merk biegł w coraz gęstych kłębach dymu, które utrudniały oddychanie. Zapach spalenizny drażnił nozdrza, a w nim

narastało znajome uczucie. Nie był to jednak strach ani nawet podekscytowanie. To było znajome uczucie, które zapowiadało jego rychłą przemianę w bezlitosną maszynę do zabijania. Zawsze tak się działo, kiedy ruszał do boju. Stawał wtedy z wrogiem twarzą w twarz, nie była mu potrzebna zbroja, nie dbał o sławę i poklask. W jego mniemaniu tylko tak wyglądała prawdziwa walka, a toczyć ją mogli wyłącznie najdzielniejsi z wojowników.

A jednak, tym razem nie wszystko było takie, jak zawsze. Zazwyczaj Merka nie obchodziło, kto żył, a kto był martwy; to była wyłącznie praca. To pozwalało mu zachować dystans, na chłodno oceniać sytuację. Tym razem coś się zmieniło. Po raz pierwszy od kiedy pamiętał, nikt mu za to nie płacił. Robił to z własnej woli, nie było żadnego innego powodu, poza współczuciem dla tej dziewczyny. Chciał tylko wyrównać jej krzywdy. To zaś sprawiło, że czuł się w to emocjonalnie zaangażowany, a to mu się wcale nie podobało. Żałował teraz, że podjął decyzję, by ruszyć jej z pomocą.

Merk nie miał przy sobie żadnej broni – nie była mu potrzebna. Za paskiem schowany miał tylko swój sztylet i to mu wystarczyło. Istniało dużo prawdopodobieństwo, że i on nie będzie mu potrzebny. Wolał rozpoczynać walkę bez broni – zbijało to z tropu jego przeciwników. Poza tym, zawsze mógł przejąć broń przeciwnika i użyć jej przeciwko niemu. Dzięki temu zawsze miał dostęp do pełnego arsenału, którego nie musiał nosić ze sobą.

Merk wybiegł z Białego Lasu na szeroką równinę, gdzie przywitało go ogromne, czerwone słońce, chowające się już powoli za horyzont. Przed nim rozciągała się dolina a w niej, pod czarnym niebem przysłoniętym gęstymi kłębowi dymu, stało w ogniu to, co, jak mniemał, pozostało z gospodarstwa dziewczyny. Merk stąd aż słyszał podekscytowane okrzyki bandytów, głosy wypełnione satysfakcją i żądzą krwi. Jego bystre oko od razu namierzyło dwunastu mężczyzn; ich twarze oświeślały pochodnie, z którymi biegali po okolicy, podkładając ogień wszędzie, gdzie się tylko dało. Część z nich rzucała właśnie pochodnie na słomiany dach domu, podczas gdy inni zarzynali niewinne bydło siekierami. W pewnej chwili zauważył, jak jeden z nich ciągnie za włosy ciało po błotnistej ziemi.

Kobieta.

Serce Merka zamarło. Nie był pewien, czy to była ta dziewczyna, a nawet czy była żywa, czy też martwa. Ciągnięto ją w stronę, jak się mu wydawało, jej rodziny, która przywiązana była linami do stodoły. Byli tam jej ojciec i matka, a obok nich, prawdopodobnie jej młodsze rodzeństwo, dwie małe dziewczynki. Jak wiatr przewiał na chwilę chmurę czarnego dymu, Merk dostrzegł długie blond włosy, zmierzwiłone z brudu, i wiedział już, że to była ona.

Merk poczuł przypływ adrenaliny, gdy ruszył biegiem w dół zbocza. Przeniknąwszy przez chmury dymu, jego oczom ukazał się makabryczny obraz. Tak jak przypuszczał, martwe ciała członków rodziny leżały bezwładnie oparte ścianę.

Kamień spadł mu z serca, gdy zobaczył, że chociaż dziewczyna jest żywa i wciąż próbuje stawiać opór. Widział jednak, że dosłownie kilka metrów dalej czeka już na nią rzeźnik ze sztyletem i wiedział, że ona miał być następna. Przybył za późno, by uratować jej rodzinę – na szczęście nie było jeszcze za późno na to, by uratować ją.

Merk wiedział, że musi zabić tych ludzi z tropu. Zwolnił kroku i spokojnie wyszedł na środek gospodarstwa. Nie śpieszył się, nie próbował zwrócić na siebie uwagi – chciał, żeby oni sami go zauważyli.

I tak też się stało. Jeden z bandytów odwrócił się na dźwięk kroków i ku swemu zdumieniu za plecami ujrzał brodatego mężczyznę wyłaniającego się z kłębow dymu. Natychmiast zaalarmował swoich towarzyszy.

Niby od niechcienia kontynuował swój marsz w stronę dziewczyny, czując na sobie osłupiały wzrok oprychów. Na widok Merka facet, który ciągnął dziewczynę za włosy, odepchnął ją w błoto, a sam ruszył w jego stronę, gotowy do walki.

– Co my tu mamy? – odezwał się, po czym wyciągnął miecz z pochwy i otoczony swymi kompanami podszedł bliżej.

Merk nie odrywał wzroku od dziewczyny, chcąc się upewnić, że żyje i że nic jej nie jest. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że ta powoli obraca się w błocie, ciężko podnosi głowę z ziemi i patrzy na niego zdezorientowana. Merk ucieszył się, że zdążył na czas by ją ocalić. Być może był to pierwszy krok na długiej drodze

do jego odkupienia.

Dziewczyna uniosła się lekko na łokciach i spojrzała na niego oczami pełnymi nadziei.

– Zabij ich! – krzyknęła.

Merk pozostał spokojny, szedł niewzruszony w kierunku dziewczyny, jakby nie zauważał otaczających go zbirów.

– Znasz tę dziewczynę? – zapytał jeden z nich.

– Może jesteś jej wujkiem? – zakpił inny.

– Przyszedłeś ją uratować? – zadrwił kolejny.

Pozostali parsknęli śmiechem wyraźnie rozbawieni tym pomysłem.

Merk, nie dając niczego po sobie poznać, obmyślał w głowie plan walki. Najpierw dokładnie ich policzył, potem ocenił ich masę i zwinność, a na końcu przyjrzał się broni, którą dysponowali. Błyskawicznie przeanalizował stosunek ich mięśni do tłuszczu, ich stroje, jaki mieli zakres ruchów w tych ubraniach, jak szybko mogli biegać w swoich butach. Zauważył, prymitywne noże, porysowane, źle wyprofilowane sztylety. Oceniał też ich postawę, to jak i gdzie trzymają broń – w której ręce, przed sobą czy z boku, i jak silny mają chwyt.

Potwierdził swoje przypuszczenia, że większość z nich to kompletni amatorzy, którzy nie będą stanowili dla niego zagrożenia. Tylko jeden z nich wydawał się być groźny. Człowiek z kuszą. Merk zanotował w pamięci, by zabić go pierwszego.

Merk wszedł na inny poziom świadomości, przestał być zwykłym człowiekiem i stał się tym, kim stawał się zawsze

podczas konfrontacji. Był całkowicie pogrążony we własnym świecie, w świecie, nad którym miał tylko ograniczoną kontrolę. W tym odmiennym stanie świadomości decydował kogo, jak i kiedy zabić, by być najbardziej efektywnym. Jemu chodziło teraz wyłącznie o zmaksymalizowanie strat przeciwnika przy minimalnym wysiłku z jego strony.

Trochę nawet żał mu było tych oprychów; nie mieli pojęcia, w co się wpakowali.

– Hej, mówię do ciebie! – zawołał szef bandy, stojąc zaledwie trzy metry od niego z mieczem w dłoni.

Merk nie zwracał na niego uwagi, spokojnie kontynuował swój marsz, nie zdradzając żadnych emocji. Był maksymalnie skoncentrowany, głosy mężczyzn w jego mózgu były teraz wyciszone. Nie miał zamiaru wykonywać żadnych ruchów dopóki nie uzna, że nadszedł idealny moment do tego, by zaatakować. Widział, jak bardzo jego zrównoważona postawa wyprowadza ich z równowagi.

– Hej, wiesz, że jesteś już trupem? – szef próbował zwrócić na siebie jego uwagę – Słyszysz mnie?

Merk nie zareagował aż do momentu, gdy ten nie wytrzymał już dłużej, z furią uniósł miecz w górę i z bojowym okrzykiem na ustach, ruszył do ataku.

Merk wyczekał go do ostatniej chwili. Nie napinał mięśni, nie zdradzał żadnych oznak gotowości do boju. Wiedział jednak dokładnie, jaki chwyt zastosować, żeby zadać największy ból.

Czekał, aż nieświadomy niczego napastnik wzniesie miecz

wysoko ponad swą głowę, by wykorzystać ten moment i zaatakować z zaskoczenia, uderzając dwoma palcami w punkt pod jego pachą.

Łotrzykowi z bólu aż wyszły oczy na wierzch, po czym bezwiednie wypuścił miecz z dłoni.

Wtedy Merk doskoczył do niego, płynnym ruchem wykręcił mu rękę, blokując ją za plecami, drugie zaś ramię owinął wokół jego szyi, unieruchamiając go przed sobą. Zdecydował się zaatakować jego pierwszego, tylko po to, by zrobić sobie z niego ludzką tarczę. I dobrze zrobił, bo za jego plecami inny jegomość szykował się właśnie do oddania strzału z kuszy. Merk obrócił się gwałtownie i w tej samej chwili usłyszał świst bełtu lecącego w jego stronę. Mocniej przytrzymał swoją żywą tarczę.

Gdy pocisk wbił się w ciało niebezpiecznika, ten wygiął się w bólu i jęknął żałośnie. Wtedy i Merk poczuł bolesne ukłucie w swoim podbrzuszu, jakby ktoś zadał mu cios nożem. Zdezorientowany, dopiero po chwili zorientował się, że to bełt przeszył osłaniające go ciało na wylot, wbijając czubek grotu w jego skórę. Wiedział, że rana nie była na tyle głęboka, by poważnie mu zaszkodzić, bolała jednak jak diabli.

Oszacowując czas, który potrzebny był do przeładowaniu kuszy, wypuścił martwe ciało z objęć, i ułamku sekundy doskoczył do leżącego na ziemi miecza, po czym zwinnym ruchem rzucił nim w chwilowo bezbronnego. Mężczyzna krzyknął z bólu, gdy miecz przebił jego pierś. Upuścił kuszę i osunął się bezwładnie na ziemię.

Merk odwrócił się i spojrzał na pozostałych bandytów. Ci stali w szoku, ubożsi o swoich dwóch najlepszych wojowników, wyraźnie niepewni co dalej robić. Nad gospodarstwem zapadła cisza.

– Kim jesteś? – zawołał ktoś w końcu drżącym głosem.

Merk uśmiechnął się szeroko i strzelił palcami na znak, że to jeszcze nie koniec.

– Ja – odpowiedział – jestem najgorszym koszmarem z waszych snów.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Duncan jechał na czele swej armii, tętent setek koni grzmiał w jego uszach, gdy pod osłoną nocy prowadził swych ludzi na południe od Argos. Jego zaufani oficerowie jechali zaraz obok, Anvin po jednej stronie, zaś Arthfael po drugiej. Tylko Vidar został w domu, by strzec Volis. W odróżnieniu od innych wodzów, Duncan lubił jeździć ze swymi ludźmi w jednym szeregu; nie myślał o nich jak o swoich podwładnych, tylko towarzyszach broni.

Jechali w mroku nocy, z chłodnym wiatrem we włosach, śniegiem pod nogami. To wspaniałe uczucie znów być w drodze, wyruszać do boju, nie chować się już za murami Volis, jak czynił Duncan przez pół swego życia. Spojrzał przez ramię i odnalazł wzrokiem swoich synów, Brandona i Braxtona, jadących ramię w ramię z jego ludźmi, i choć był dumny, mając ich u swego boku, nie myślał o nich tak, jak o swej córce. Wzbraniał się przed tym, poprzysiągł sobie, że odegna zmartwienie, jednak nocą, gdy leżał nie mogąc zasnąć, jego myśli krążyły wokół Kyry.

Zastanawiał się gdzie mogła teraz być. Myśl o tym, że przemierza Escalon samotnie, za towarzyszy mając tylko Dierdre, Andora i Leo, przyprawiała go o szybsze bicie serca. Wiedział doskonale, że wyprawa, na którą ją posłał, mogła zgubić nawet najbardziej doświadczonych wojów. Jeśli tylko ją przetrwa, powróci jako wojownik potężniejszy, niż którykolwiek

z ludzi jadących dziś w jego drużynie. Jeśli nie wróci – on nie będzie w stanie sobie tego wybaczyć. Jednak trudne czasy wymagają trudnych decyzji, a Duncan bardziej niż kiedykolwiek potrzebował, by Kyra wykonała swoje zadanie.

Wjechali na szczyt wzgórza i pojechali w dół zboczem. Wiatr wzmógł się, Duncan zaś zapatrzył się na rozciągające się poniżej pola, oświetlone łśnieniem księżyca, i pomyślał o celu ich podróży: Esephus. Morska warownia, miasto pobudowane wokół portu, serce północnego wschodu i główny port dla całego handlu. Miasto miało brzeg Morza Łez po jednej stronie, zaś zatokę portową po drugiej. Powiadano więc, że ktokolwiek kontroluje Esephus, trzyma w garści większą część Escalonu. Wiedział doskonale, że jeśli chce mieć realną szansę wzbudzić rewolucję, Esephus musi być jego pierwszym celem. Był to bowiem najbliższy Argos fort i kluczowa warownia. To wspaniałe miasto musiało zostać wyzwolone. Jego port, niegdyś tak dumnie zapełniony przez statki pod banderą Escalonu, teraz gościł flotę Pandezji. Nie był już niczym więcej, jak gorzkim wspomnieniem swojej wielkości.

Duncan i Seavig, przywódca Esephus, swego czasu byli sobie bliscy. Niezliczoną ilość razy ruszali razem do walki jako towarzysze broni, a Duncan nie raz wypływał z Seavigiem na morze. Jednak od czasu inwazji stracili kontakt. Seavig, niegdyś dumny dowódca, był teraz zwykłym żołnierzem. Nie mógł wyruszyć na morze, rządzić swym miastem czy wizytować inne warownie. Równie dobrze mogli go aresztować i okrzyknąć

więźniem, którym w rzeczywistości był. Tak jak zresztą i pozostali dowódcy Escalonu.

Duncan jechał pośród nocy, wśród wzgórz oświetlonych jedynie pochodniami dzierzonymi przez swoich ludzi, setkami jasnych punktów kierujących się na południe. Gdy tak jechali, padało coraz mocniej i wzrastał się wiatr, zaś pochodnie ledwie tliły się, tak jak księżyc, który ledwie przedzierał się przez chmury. Mimo to armia Duncana parła naprzód, coraz dalej, ci ludzie, którzy za nim pojechaliby na kraniec świata. Atakować nocą, do tego w śniegu, to niekonwencjonalna taktyka, Duncan wiedział o tym doskonale – jednak od zawsze był niekonwencjonalnym dowódcą. To właśnie było podstawą jego wojskowej kariery, sprawiło, że został głównym dowódcą starego króla, i wreszcie, że dowodził własną warownią. Właśnie to sprawiło, że stał się najbardziej szanowanym dowódcą rozproszonej armii. Duncan nigdy nie działał tak jak inni. Jedyne motto, według którego starał się żyć to: *rób to, co najmniej oczekiwane*.

Pandezjanie nie mogli spodziewać się ataku, jako że wieści o rewolcie Duncana nie mogły dotrzeć tak szybko na dalekie południe. A już na pewno nikt nie spodziewa się ataku nocą, w dodatku w śniegu. Wszyscy doskonale znają ryzyko jazdy nocą, konie łamiące nogi i setki innych problemów. Jednak wojny, wiedział to świetnie, często wygrywane są przez zaskoczenie i szybkość, a nie siłą.

Duncan planował jechać całą noc, aż nie dotrą do Esephus,

by spróbować pokonać ogromne siły Pandezji i odbić to wielkie miasto mając do dyspozycji jedynie kilka setek ludzi. A jeśli udałoby się przejąć Esephus, wtedy realnym stałoby się marzenie, by sprawa nabrała takiego rozpędu, żeby rozpocząć wojnę o wyzwolenie Escalonu.

– Przed nami! – wykrzyknął Anvin, wskazując w śnieżną dal.

Duncan spojrział w dolinę rozciągającą się poniżej i zauważył kilka niewielkich wiosek pstrzających okolice, ukrytych pod śniegiem i mgłą. Wiedział, że te wioski zamieszkane są przez mężnych wojowników, oddanych Escalonowi. W każdej była zaledwie garstka ludzi, ale gdy zebrać ich razem... Jego armia nabrałaby liczebności i zdobyła potrzebną siłę.

Duncan odezwał się, przekrzykując podmuchy wiatru i tętent koni.

– Zadać w rogi!

Jego ludzie unieśli rogi do ust, seria krótkich dźwięków ułożyła się w starą melodię bitewną Escalonu; odgłosy te rozgrzały jego serce, nie słyszał ich już od bardzo dawna. Te dźwięki były znane każdemu z rodaków – powiedzą im wszystko, co powinni wiedzieć. Jeśli w tych wioskach pozostali jeszcze porządni ludzie – ten hejnał poruszy ich do działania.

Rogi odzywały się raz za razem i gdy zbliżyli się, wioski zaczęły rozświeć się pochodniami. Mieszkańcy, zauważywszy ich obecność, zaczęli wychodzić na ulice, płomienie ich pochodni migotały na tle białego śniegu. Mężczyźni zaczęli ubierać się w pośpiechu, łapać za broń i nakładać taką zbroję,

jaka jeszcze im została. Wszyscy patrzyli w kierunku wzgórza, w kierunku zbliżającego się Duncana i jego ludzi, z ich gestów można było wyczytać, że ledwie wierzą w ten cud. Duncan mógł jedynie domyślać się jaki to widok – niewielka armia galopująca ciemną nocą, przez śnieżną zamięć, w dół zbocza, z setkami pochodni w rękach, niczym legion ognia walczący ze śniegiem.

Wjechali do pierwszej wioski i zatrzymali się, światło ich pochodni oświeślało zaskoczone twarze. Duncan spojrzał po wypełnionych nadzieją oczach swoich rodaków i wykrzywił twarz w swoim najstraszliwszym bitewnym grymasie, przygotowując się, by zagrzać ich do walki lepiej, niż kiedykolwiek.

– Mężowie Escalonu! – wykrzyknął, zbierając konia z galopu do stępa, ciągnąc jego wodze, by obracał się wokół, dając mu spojrzeć na wszystkich ludzi zbierających się coraz ciaśniej dokoła.

– O wiele za długo cierpimy już pod ciężką okupacją Pandezji! Czas wybrać, czy chcecie pozostać tutaj i wieść spokojny żywot w tej wiosce, a Escalon zakopać w pamięci – czy powstaniecie jako wolni ludzie i pomożecie nam rozpocząć wielką wojnę o nasze wyzwolenie!

Zgromadzenie wybuchło radosnym krzykiem, gdy mieszkańcy ruszyli przed siebie jak jeden mąż.

– Pandezjanie zaczęli zabierać nasze dziewczęta! – wykrzyknął jeden z ludzi – Taka wolność to nie wolność!

Mieszkańcy wykrzyknęli na wiwat.

– Jesteśmy z tobą, Duncanie! – krzyknął kolejny – Pojedziemy za tobą na koniec świata!

Dał się słyszeć kolejny wiwat, po czym mieszkańcy wioski ruszyli dosiadać koni i dołączać do szeregów. Duncan, zadowolony rosnącą liczebnością żołnierzy, popędził konia i skierował się do wyjazdu z wioski. Zaczęło docierać do niego, że Escalon już od dawna był gotowy do rewolty.

Po chwili dotarli do kolejnej wioski, jej mieszkańcy stali już przed domami, czekając, z zapalonymi pochodniami, jako że z daleka słyszeli głos rogów, krzyki, widzieli rosnącą armię i doskonale wiedzieli, co się dzieje. Miejscowi pozdrawiali się nawzajem, rozpoznając swoje twarze, byli świadomi w czym uczestniczą i nie potrzebowali więcej przemów. Duncan przejechał przez tą wioskę tak, jak przez poprzednią, jednak nikogo więcej nie trzeba było przekonywać, wszyscy pragnęli wolności, pragnęli odzyskania godności, wskakiwali więc na konie, chwyтали za broń i dołączali do Duncana, nie pytając o nic.

Duncan jechał od jednej wioski do drugiej. Każda z nich rozświećlała się, pomimo wiatru, śniegu, pomimo czarnej nocy. Ich potrzeba wolności rozświećlała nawet najczarniejszą noc. Wszyscy byli gotowi chwycić za broń by odzyskać swoje życie.

*

Duncan jechał przez noc, prowadząc rosnącą armię na południe, jego obolałe i zgrabiące od zimna ręce trzymały mocno

końskie wodze. Im dalej jechali na południe, tym bardziej okolica zaczynała się zmieniać. Suchy ziąb Volis zastępowała zimna wilgoć Esephus, z ciężkim powietrzem, które Duncan dobrze zapamiętał, morską bryzą i zapachem soli. Drzewa były tu niższe, potargane, przygięte do ziemi przez wschodni wicher, który wydawał się nigdy nie cichnąć.

Przejeżdżali jeden pagórek po drugim. Chmury rozstały się, mimo padającego śniegu, a pomiędzy nich wyjrzał księżyc ze swą jasną tarczą, oświetlając im drogę. Duncan dobrze wiedział, że tę noc zapamięta na resztę swego życia. Jeśli, oczywiście, przeżyje. Na tej bitwie opierało się wszystko. Pomyślał o Kyrze, o swojej rodzinie, swym domu, jak bardzo nie chciał ich utracić. Chodziło tu o jego życie, o życie wszystkich, których znał i kochał, wszystko to trzeba było rzucić na szalę.

Duncan zerknął przez ramię i z radością dostrzegł, że do drużyny dołączyło kolejne kilkaset ludzi, wszyscy jechali równo, mając ten sam cel przed sobą. Wiedział, że mimo rosnącej liczebności, wróg będzie miał miazdzącą przewagę, poza tym ich armia składała się z zawodowych żołnierzy. W Esephus stacjonowało tysiące Pandezjan. Duncan wiedział, że Seavig nadal miał kilkaset swoich pod komendą, jednak nie mógł być pewien, czy zaryzykuje wszystko i dołączy do niego. Musiał zakładać, że tak się nie stanie.

Po chwili wjechali na kolejne wzniesienie i zatrzymali się na jego szczycie, nie potrzebując komend. Przed nimi, poniżej, rozciągało się Morze Łez, jego fale rozbijały się o brzeg,

zobaczyli wielki port i starożytne miasto Esephus zaraz obok. Miasto wyglądało, jakby pobudowano je plecami do lądu, jakby było zwrócone ku morzu, z łukowatymi bramami zanurzonymi w wodzie, jakby znacznie bardziej zależało im na tym, by gościć statki, niż konie.

Duncan przyjrzał się portowi, niekończącym się rzędom statków, które, ku jego udręce, stały pod banderą Pandezji, żółto-niebieską flagą, która tkwiła mu cierniem w sercu. Na wietrze powiewał herb Pandezji – czaszka w dziobie orła – Duncanowi aż zrobiło się niedobrze na ten widok. Widzieć jak tak wspaniałe miasto zakuto w pandezyjskie kajdany sprawiało, że Duncan spłonął wstydem. Nawet pośród czarnej nocy jego policzki poczerwieniały. Statki stały w porcie dumne, bezpiecznie zacumowane, niespodziewające się ataku. Oczywiście. Kto śmiałby ich zaatakować? Szczególnie w ciemną noc, i do tego w zamieć?

Duncan poczuł, że oczy wszystkich jego ludzi spoczywają na nim, wiedział, że nadeszła godzina prawdy. Wszyscy czekali na jego komendę, która miała odmienić los Escalonu, czuł, że gdzieś wewnątrz, w trzewiach, jego przeznaczenie rwie się do działania. Wiedział, że to jedna z chwil, które nadaje kształt całemu życiu – jego i wszystkich tu obecnych.

– NAPRZÓD! – wykrzyknął.

Jego ludzie krzyknęli na wiwat i jak jeden mąż pognali w dół wzniesienia, spiesząc w kierunku portu, kilkaset metrów stąd. Podnieśli wysoko pochodnie, Duncan czuł, jak serce

galopuje mu w piersi, szybciej jeszcze, niż wiatr owiewający mu twarz. Wiedział, że to samobójcza misja – a jednocześnie miał świadomość, że plan jest na tyle szalony, że aż może się udać.

Pognali pustym polem, ich konie gnały tak szybko, że pęd mroźnego powietrza odbierał mu dech, a gdy zbliżali się do portu, gdy kamienne mury znajdowały się nie dalej jak kilkadziesiąt metrów, Duncan spiał się do walki.

– ŁUCZNICY! – wykrzyknął.

Jego łucznicy, jadący w równych rzędach za jego plecami, podpalili swoje strzały, przytykając pochodnie do grotów, i czekali na rozkaz. Wciąż jechali, końskie kopyta dudniły niczym grzmoty, jednak Pandezjanie zdawali się być wciąż nieświadomi nadchodzącego ataku.

Duncan odczekał, aż znajdą się bliżej – dwadzieścia metrów, pięnaście, wreszcie dziesięć – aż był pewien, że nadeszła odpowiednia chwila.

– OGNI!

Czerń nocy nagle rozświetliła się tysiącem płonących strzał, szybujących wysoko w górę, przecinając padający śnieg, w kierunku dziesiątek pandezyjskich statków zacumowanych na przystaniach. Jedna po drugiej, niczym świetliki, znajdowały swoje cele, lądując na długich, powiewających płótnach żagli Pandezjan.

Wystarczyła chwila, by statki zajęły się ogniem, najpierw żagle, a potem kadłuby stanęły w ogniu, który w mgnieniu oka, niesiony wiatrem, rozprzestrzenił się po porcie.

– JESZCZE RAZ! – wykrzyknął Duncan.

Salwa płonących strzał za salwą spadała niczym deszcz na całą flotę Pandezji.

Z początku wszystko odbywało się w ciszy, wszyscy żołnierze twardo spali, nikt nie podejrzewał niczego. Pandezjanie stali się, pomyślał Duncan, zbyt aroganccy, zbyt beztroscy, za nic nie podejrzewaliby takiego ataku.

A Duncan nie dał im ani chwili, by zebrać siły; śmiało jechał naprzód, zbliżając się do portu. Poprowadził swoją drużynę pod sam mur okalający przystanie.

– POCHODNIE! – zakrzyknął.

Jego ludzie podeszli do samego brzegu, unieśli pochodnie wysoko i z krzykiem podążyli za przykładem Duncana, rzucając płonące szczapy na pokłady najbliższych statków. Ciężkie pochodnie lądowały niczym maczugi na drewnianych deskach, przez chwilę było słychać tylko drewno stukające o drewno i kolejnych kilkanaście statków stało w płomieniach.

Kilku pandezyjskich żołnierzy stojących na warcie o wiele zbyt późno zorientowało się, co się dzieje, niewiele więc mogli poradzić na wznoszące się coraz wyżej ściany ognia. Krzyczeli tylko bezsilnie i skakali z pokładów do wody.

Duncan wiedział, że to kwestia czasu, aż reszta Pandezjan obudzi się.

– DO ROGÓW! – krzyknął.

Zewsząd dało się słyszeć dęcie w rogi, stary escaloński sygnał grany przed walką. Wiedział, że Seavig rozpozna te krótkie,

urywane dźwięki. Miał nadzieję, że to zbudzi go do działania.

Duncan zeskoczył z konia, wyciągnął miecz i pobiegł ku portowemu murowi. Bez wahania przeskoczył przez niski mur, wskoczył na płonący statek, prowadząc swoją drużynę. Musiał poradzić sobie z Pandezjanami, póki nie uformowali szyków.

Anvin i Arthfael biegli u jego boku, dołączyła do nich reszta jego ludzi, wszyscy wykrzykiwali bitewne okrzyki, gdy rzucali swoje żywota na wiatr. Po tylu latach poddaństwa, wreszcie nadszedł czas zemsty.

Pandezjanie powoli orientowali się w sytuacji. Żołnierze poczęli wychodzić spod pokładów, prac naprzód niczym mrówki, kaszląc w gryzącym dymie, zupełnie oszołomieni. Wystarczyło jednak, żeby zobaczyli Duncana i jego drużynę, by natychmiast wyciągnęli miecze i rzucili się do boju. Duncan zorientował się, że ma przed sobą niekończące się strumienie wrogów – jednak nie cofnął się o krok; przeciwnie, ruszył do ataku.

Rzucił się do przodu i schylił w uniku, jako że pierwszy żołnierz ciął, celując w jego głowę, prostując się dźgnął go w brzuch. Kolejny ciął w jego plecy, lecz Duncan obrócił się i zablokował cios – po czym wywinął miecz z ręki wroga i dźgnął go w pierś.

Walczył jak szalony, jako że ataki nadchodziły ze wszystkich stron, przed oczyma stawały mu dawne dni. Cały zatonął w walce, parując ciosy nadchodzące ze wszystkich stron. Gdy wrogowie zbliżyli się zbyt blisko by walczyć mieczem, odchylił się

do tyłu i kopniakiem odrzucił ich, tworząc wystarczająco dużo miejsca na zamach ostrzem; obracał się wtedy wokół, uderzał łokciami i pięściami, gdy tylko było potrzeba. Wrogowie padali gęsto wokół, nikt nie był w stanie się zbliżyć.

Po chwili do Duncana dołączył Anvin i Arthfael, wraz z grupką kilkunastu ludzi, którzy skoczyli mu na pomoc. W samą porę – Anvin ledwie zdążył zablokować cios żołnierza, który zaszarżował na Duncana od tyłu, Arthfael zaś zdążył unieść miecz i przyjąć na niego topór, celujący w twarz Duncana. Wtedy Duncan skoczył do przodu i dźgnął żołnierza w brzuch, razem z Arthfaelem kończąc jego żywot.

Wszyscy walczyli jak jeden mąż, jak maszyna dotarta przez wiele lat, które spędzili razem, strzegąc nawzajem swoich pleców, w brzęku mieczy i zbroi, które przeszywały noc.

Wszędzie wokół Duncan widział swych ludzi skaczących na statki w całym porcie, atakujących flotę jak jeden mąż. Pandezyjscy żołnierze wylewali się na zewnątrz, ledwie obudzeni, niektórzy z grzbietami zajętymi ogniem, zaś wojownicy Escalonu dawali im mężny odpór, walcząc dzielnie pośród płomieni; żaden nie cofnął się, nawet gdy ogień szalał wszędzie wokół. Sam Duncan walczył dopóki starczyło mu sił w ramionach, zlany potem, z oczyma piekącymi od dymu, ogłuszony brzękiem mieczy, powalając jednego żołnierza po drugim, gdy starali się uciec do brzegu.

Wreszcie płomienie rozpały się tak, że ledwie dało się wytrzymać żar. Żołnierze Pandezji, ubrani w ciężkie zbroje,

uwięzieni przez ogień, skakali ze statków w toń wody – Duncan zaś sprowadził swoich ludzi z pokładu, przez kamienny mur, z powrotem do portu. Usłyszał krzyk i zwrócił się ku niemu, by ujrzeć setki pandezyjskich żołnierzy starających się zejść za nimi ze statku.

Gdy schodził na suchy ląd, gdy ostatni z jego ludzi zszedł z pokładu, zwrócił się, uniósł miecz wysoko i ciął grube liny, którymi statki zacumowane były do brzegu.

– LINY! – zakrzyknął.

Na lewo i prawo, w całym porcie, jego ludzie poszli za jego przykładem i przecinali cumy, którymi uwiązana była flota. Gdy wielka lina wreszcie puściła, Duncan położył swój but na burcie, by kopnięciem posłać statek z dala od brzegu. Aż stęknął z wysiłku, więc Anvin, Arthfael i nastu innych skoczyło mu na pomoc. Wspólnymi siłami odepchnęli płonący kadłub od nabrzeża.

Statek stał w ogniu, cały wypełniony był wrzaskiem żołnierzy i powoli dryfował w kierunku reszty statków w porcie – a gdy dotarł do nich, je także zaczął podpalać. Ludzie zeskakiwali ze statków setkami, wrzeszcząc i tonąc w czarnych wodach.

Duncan stał tak, dysząc ciężko i patrząc z błyskiem w oku, jak cały port w końcu objęła wielka pożoga. Tysiące Pandezjan, w pełnym rynsztunku, wybiegało spod pokładów – lecz już było za późno. Zatrzymywały ich ściany ognia, pozostawiając im wybór, by spłonąć żywcem lub utonąć w zimowej toni. Wszyscy wybierali to drugie. Duncan patrzył, jak wody portu

zapełniały się setkami ludzi unoszącymi się na powierzchni, wszyscy krzyczeli i starali się płynąć w stronę brzegu.

– ŁUCZNICY! – wykrzyknął Duncan.

Jego łucznicy wycelowali i strzelali salwę za salwą, celując w miotających rękoma żołnierzy w wodzie. Strzały sięgały celu, a Pandeżanie tonęli, jeden po drugim.

Wody stały się gęste od krwi, po chwili dało się słyszeć wrzaski, gdy ton napęliła się rekinimi płetwami, które pożywiały się wśród tej jatki.

Duncan spojrzał przed siebie, powoli dochodziło do niego, czego udało mu się dokonać: cała flota Pandeżji, jeszcze kilka godzin temu zacumowana twardo w porcie, symbol pandezyjskiego podboju, przestała istnieć. Setki statków zostało zniszczonych, płonęły jeszcze tylko jako symbol zwycięstwa Duncana. Szybkość i zaskoczenie przeważały.

Z gardeł jego ludzi podniósł się głośny okrzyk, Duncan zwrócił się do nich, by zobaczyć, że wszyscy wiwatują, patrząc na płonące statki, z twarzami czarnymi od sadzy, wyczerpani nocną jazdą – jednak zupełnie upojeni zwycięstwem. Był to krzyk ulgi. Krzyk wolności. Krzyk, który czekał w ich piersiach całe lata.

Jednak zaraz po nim powietrze zadrżało od kolejnego krzyku – znacznie bardziej zagadkowego – po czym dał się słyszeć dźwięk, od którego Duncanowi aż zjeżyły się włosy na karku. Odwrócił się i jego serce prawie stanęło, gdy zobaczył otwierające się bramy pobliskich kamiennych koszar. Za wrotami ujrzał przerażający obraz: tysiące pandezyjskich

żołnierzy, w pełnym rynsztunku i karnych szeregach; zawodowa armia, o dziesięciokrotnej przewadze liczebnej, gotowała się do walki. I gdy bramy otworzyły się wreszcie, tysiące gardeł krzyknęło na raz i armia ruszyła na nich szarżą.

Wreszcie obudzili potwora. Teraz rozpocznie się prawdziwa wojna.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kyra, Dierdre i Leo pędzili pod osłoną nocy przez zaśnieżone równiny zachodniego Argos. Mijały długie godziny. Miarowy stukot końskich kopyt przeniósł Kyre w jej własny świat. Podekscytowana, wyobrażała sobie, co może na nią czekać w Wieży Ur, kim może być jej wuj i czego dowie się tam o sobie i o swej matce. Musiała przyznać, że czuła też narastający niepokój. Czekala ją długa droga przez niebezpieczne ziemie Escalonu. Strach potęgował roztaczający się przed nią widok na majaczący w oddali zarys Cierniowego Lasu, przez który wiedziała, że prędzej czy później, będą musieli przejechać. Już wkrótce wjechać mieli w tę klaustrofobiczną gęstwinę, w której nawet najgorszy koszmar mógł okazać się rzeczywistością.

Zamieć śnieżna hulała po rozległych równinach, ograniczając jej widoczność i kalecząc boleśnie twarz. Kyra dopiero teraz zorientowała się że pochodnia, którą wciąż trzymała w swej zdrętwiałej z zimna dłoni dawno już wygasła, pogrążając ich w zupełnej ciemności. Zamyślona, wsłuchiwała się z stukot kopyt, przerywany niekiedy tylko rzeniem Andora. Kyra czuła pod sobą jego dzikość, jego furie, jego nieposkromioną rządzą walki.

Owinięta w swe futra, poczuła kolejną falę głodu, a gdy znowu usłyszała skamlenie Leo, wiedziała, że nie będą mogli już dłużej ignorować tego uczucia. Jechali od wielu godzin i zdążyli już zjeść wszystkie swoje zapasy suszonego mięsa. Kyra zbyt

późno uświadomiła sobie, że nie zaopatrzyli się w odpowiednią ilość zapasów. Co gorsza, na zamarzniętej ziemi nie dostrzegła żadnych gryzoni. Nie wróżyło to nic dobrego. Wkrótce będą musieli przystanąć, by znaleźć coś do jedzenia.

W miarę jak zbliżali się do granicy Cierniowego Lasu, zwalniali coraz bardziej. Kyra obejrzała się przez ramię na równiny Argos i ostatni raz popatrzyła w otwarte niebo. Westchnęła na myśl o tym, że tego widoku nie uświadczy przez dłuższy czas. Odwróciła się znowu w stronę lasu. Wiedziała, co tam na nich czeka i wiedziała też, że od tej chwili nie ma już dla nich odwrotu.

– Jesteś gotowa? – Kyra zapytała Dierdre.

Dierdre wydawała się być teraz zupełnie inną dziewczyną, niż tam, w więzieniu. Była dużo silniejsza, bardziej zdecydowana, jak gdyby powróciła z piekieł, gotowa stawić czoła największym wyzwaniom.

– Najgorsze, co mogło mnie spotkać, już mnie spotkało – odpowiedziała Dierdre głosem zimnym i twardym.

Kyra skinęła głową, na znak zrozumienia, po czym razem wjechały w odmęty lasu.

W chwili, gdy przekroczyły linię drzew, Kyra poczuła przeszywający chłód. Ogarnęła je klaustrofobiczna ciemność, którą dodatkowo zagęszczwały pradawne czarne drzewa, z sękatymi gałęziami przypominającymi ciernie i grubymi czarnymi liśćmi. Las ten wręcz emanował złem.

Ruszyły stępem pomiędzy drzewami. Śnieg skrzypiał pod

ich wierzchowcami, a z głębin lasu zaczęły wydobywać się przerażające odgłosy dzikich i niespotykanych nigdzie indziej stworzeń. Kyra rozejrzała się wokół, chcąc zlokalizować ich źródło, ciemność jednak była zbyt nieprzenikniona. I bez tego wiedziała, że są obserwowani.

Zapuszczały się coraz głębiej w las, próbując kierować się na zachód i północ, tak jak radził ojciec Kyry. Leo i Andor co chwilę powarkiwali na stworzenia ukryte w gęstwinach, ona zaś próbowała omijać kaleczące ją gałęzie. Kyra myślała o długiej drodze, którą mają przed sobą. Choć myśl o poszukiwaniach wuja przyprawiała ją o szybsze bicie serca, równie mocno pragnęła być teraz ze swoimi ludźmi, by wspierać ich w walce. Czuła, że chce jak najszybciej do nich powrócić.

Mijały kolejne godziny. Kyra, spoglądając w otchłań lasu, zastanawiała się ile czasu jeszcze upłynie, zanim dotrą do morza. Wiedziała, że dużo ryzykują, kontynuując podróż w ciemnościach, z drugiej jednak strony, rozbijając obozowisko w tym miejscu i o tej porze, z pewnością naraziliby się na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

– Gdzie jest morze? – Kyra zapytał w końcu Dierdre, głównie po to by przerwać milczenie.

Dierdre drgnęła nerwowo, wyrwana z odmetów własnych myśli; Kyra mogła się tylko domyślać, jakie koszmary ją prześladowały.

Dierdre pokręciła głową.

– Chciałbym to wiedzieć – odpowiedziała ochryłym głosem.

Kyra była zdziwiona.

– Czy nie tędy cię wieźli? – spytała.

Dierdre wzruszyła ramionami.

– Jechałam zamknięta w klatce z tyłu wozu – odpowiedziała –

Przez większość drogi byłam nieprzytomna. Nie znam tego lasu.

Westchnęła, wpatrując się w ciemność.

– Ale gdy znajdziemy się w pobliżu Białego Lasu, powinnam lepiej się orientować.

Dalszą podróż kontynuowały w milczeniu. Kyra mimowolnie zaczęła zastanawiać się nad przeszłością Dierdre. Czuła bijącą od niej siłę, ale i przemożny smutek. Kyre zaczęły ogarniać czarne myśli o podróży, braku żywności, przenikliwym zimnie i dzikich stworzeniach, które czyhały na nie w zaroślach. Musiała skupić na czymś innym swoją uwagę.

– Opowiedz mi o wieży Ur – poprosiła Kyra – jaka ona jest?

Dierdre spojrzała na nią swoimi podkrążonymi ze zmęczenia oczami i wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie byłam w wieży – odpowiedziała – Jestem z miasta Ur – a to jest dobry dzień jazdy na południe.

– Opowiedz mi zatem o swoim mieście – nalegała Kyra, chcąc oderwać się od swych myśli.

Oczy Dierdre rozjaśniły się.

– Ur to piękne miejsce – powiedziała z tęsknotą w głosie – Miasto położone nad morzem.

– Jak byłam dzieckiem, ojciec zabrał mnie raz do miasta położonego nad morzem – wspominała Kyra – Do Esephus,

dzień drogi na południe od Volis.

Dierdre pokręciła głową.

– To nie jest morze – odpowiedziała.

Jej słowa zbiły Kyre z tropu.

– Co masz na myśli?

– Tam jest Morze Łez – wyjaśniła Dierdre – Ur znajduje się nad Morzem Smutku. Nasze morze jest o wiele ciekawsze. Na wschodnim wybrzeżu dominują niewielkie fale, za to na zachodzie, fale osiągają prawie dziesięć metrów, a pływy są tak silne, że nawet statki, nie wspominając już o ludziach, nie dają im rady. Nasze miasto jest jedynym miejscem w całym Escalonie, gdzie klify są na tyle niskie, by pozwolić statkom przybić do brzegu. I tylko my mamy plażę. To dlatego Andros zostało zbudowane dzień jazdy na wschód od nas.

Kyra chłoneła jej słowa, szczęśliwa, że może pomyśleć o czymś innym. Pamiętała, że o Ur uczuła się trochę w przeszłości, ale nigdy nie знаła nikogo, kto by stamtąd pochodził.

– A twoi ludzie? – dopytywała Kyra – Jacy oni są?

Dierdre westchnęła.

– Są dumni – odpowiedziała – jak wszyscy w Escalonie. Ale jest w nich też coś wyjątkowego. Mówi się, że ludzie w Ur mają jedno oko na Escalon a drugie na morze. Patrzymy w dal. Jesteśmy mniej prowincjonalni, być może dlatego, że tak wielu obcokrajowców przybija do naszych brzegów. Ludzie z Ur byli niegdyś słynnymi wojownikami, a w wśród nich przede wszystkim mój ojciec. Teraz jesteśmy poddanymi, jak wszyscy

inni.

Westchnęła i zamilkła na dłuższy czas. Kyra była zaskoczona, gdy znów zaczęła mówić.

– Nasze miasto poprzecinane jest kanałami – ciągnęła – Kiedy byłam mała, siadywałam na szczycie wzgórza i całymi godzinami przypatrywałam się statkom wpływającym i wypływającym z naszych portów. Przyływały do nas z całego świata, pod różnymi banderami i żaglami. Przywozili przyprawy, jedwab, broń i przeróżne egzotyczne przysmaki, a czasem nawet zwierzęta. Obserwowałam ludzi i wyobrażałam sobie kim są, skąd pochodzą. Rozpaczliwie chciałam być jedną z nich.

Kyra zobaczyła, jak na myśl o tym miejscu twarz Dierdre się nieco rozpromienia.

– Kiedyś miałam marzenie, – powiedziała Dierdre – że kiedy dorosnę, wkradnę się na pokład jednego z tych statków i popłynę do jakiegoś odległego kraju. Tam spotkam mojego księcia, z którym zamieszkać gdzieś na wyspie we wspaniałym zamku. Gdzieś daleko od Escalonu.

Kyra zobaczyła szeroki uśmiech na jej twarzy.

– A teraz? – zapytał Kyra.

Dierdre natychmiast zwiesiła nos na kwintę i ze łzami w oczach pokręciła głową.

– Teraz jest już dla mnie za późno – powiedziała cicho – Po tym, co mi zrobili.

– Nigdy nie jest za późno – Kyra próbowała dodać przyjaciółce otuchy.

Ale Dierdre tylko pokręciła znowu głową.

– To były marzenia niewinnej dziewczyny – powiedziała, jej głos był ciężki od wyrzutów sumienia – A ta dziewczyna już dawno odeszła.

Zapadła cisza. Kyra czuła ogromny żal, współczucie dla cierpienia swojej przyjaciółki. Pragnęła uśmierzyć jej ból, ale nie wiedziała jak. Rozmyślała nad bólem, który odczuwali inni ludzie. Kiedyś ojciec powiedział jej coś takiego: *Nie daj się zwieść pozorom – każdy z nas nosi rozpacz w sercu. Niektórzy tylko potrafią ją lepiej ukryć. Każdego człowieka obdarzaj współczuciem, nawet jeśli źródło jego smutku nie jest ci znane.*

– Najgorszy dzień mojego życia – Dierdre nie mogła już dłużej w sobie tego dusić – był kiedy mój ojciec poddał się prawu Pandezji, kiedy wpuścił ich statki do naszych kanałów i pozwolił tym bydlakom opuścić nasze bandery. I kiedy pozwolił im mnie zabrać.

Kyra rozumiała to aż nazbyt dobrze. Znała to okropne poczucie zdrady.

– A kiedy wrócisz? – zapytał Kyra – Spotkasz się z ojcem?

Dierdre dłuższą chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– On nadal jest moim ojcem. Popełnił błąd. Jestem pewna, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co tam ze mną robią. Myślę, że kiedy się dowie, już nigdy nie będzie taki, jak dawniej. Chcę mu powiedzieć. Oko w oko. Chcę, żeby zrozumiał przez co przesłam. Do czego doprowadziła jego zdrada. On musi zrozumieć, co się dzieje, gdy mężczyzna decyduje o losie kobiety

– otarła łzę z policzka – Kiedyś był moim bohaterem. Nie rozumiem, jak mógł mnie im oddać.

– I co teraz?

Dierdre pokręciła głową.

– Nigdy więcej. Skończyłam z czynieniem z mężczyzn moich bohaterów. Czas poszukać innych.

– A co z tobą?

Dierdre zwróciła się do niej, zdeorientowana.

– Co masz na myśli?

– Po co szukać bohaterów dalej niż w samej sobie? Nie możesz być swoją własną bohaterką?

Dierdre zupełnie zatkało.

– Nie bardzo rozumiem.

– Dla mnie już jesteś bohaterką – oznajmiła Kyra – To, co tam przeszłaś... ja bym nie zniosła takiego cierpienia. Ty to wszystko przetrwałaś. Co więcej, otrząsnęłaś się z tego i teraz jesteś jeszcze silniejsza. To właśnie sprawia, że jesteś moją bohaterką.

Dierdre najwyraźniej kontemplowała jej słowa, bo przez dłuższą chwilę jechały w ciszy.

– A ty, Kyra? – Dierdre zapytał w końcu – Opowiedz mi coś o sobie.

Kyra wzruszył ramionami, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Co chciałybyś wiedzieć?

Dierdre odchrząknęła.

– Powiedz mi o smoku. Co tam się stało? Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Dlaczego on do ciebie przyszedł? – zawahała

się przez chwilę – Kim ty jesteś?

Ku swemu zaskoczeniu, w jej głosie Kyra rozpoznała strach.

Długo zastanawiała się, jak jej odpowiedzieć. Starannie dobierała słowa, by jak najlepiej oddać prawdę, przynajmniej tą, którą знаła.

– Nie wiem – odpowiedziała w końcu, zgodnie z prawdą – Przypuszczam, że tego właśnie jadę się dowiedzieć.

– Nie wiesz? – Dierdre naciskała – Smok nadlatuje z nieba, by walczyć o ciebie, a ty nie wiesz dlaczego?

Kyra wiedziała, jak nieprawdopodobnie to brzmi, ale nic więcej nie potrafiła jej powiedzieć. Odruchowo spojrzała na niebo między koronami drzew, naiwnie wierząc, że może gdzieś tam dostrzeże Theosa.

Nie było tam jednak nic, poza gęstym mrokiem. Poczuła się jeszcze bardziej samotna.

– Wiesz, że jesteś inna, prawda? – dopytywała Dierdre.

Kyra wzruszyła ramionami i zakłopotana oblała się rumieńcem. Zastanawiała się, czy przyjaciółka patrzy na nią jak na jakiś wybryk natury.

– Kiedyś byłam wszystkiego taka pewna – odpowiedziała Kyra – Ale teraz... teraz nic już nie jest dla mnie jasne.

W milczeniu kontynuowały podróż, przechodząc chwilami do kłusu, gdy tylko las się dla nich otwierał, to znów zeskakując z koni i prowadząc je za sobą pomiędzy powykręcanymi konarami drzew. Przez cały ten czas Kyra czuła się tak, jak gdyby za chwilę coś miało wyskoczyć na nie z krzaków i rozerwać im gardła.

Ani przez chwilę nie mogła się w tym lesie zrelaksować. Nie wiedziała, co dokucza jej bardziej: przeszywające zimno, czy skurcze żołądka wywołane głodem. Bolały ją wszystkie mięśnie i nie czuła już ust. Czuła się okropnie. Nie mogła uwierzyć w to, że ich podróż tak naprawdę dopiero się zaczęła.

W pewnej chwili Leo zaczął dziwnie skamleć. Wydawał z siebie takie odgłosy, jakby poczuł zapach jedzenia. W tej samej chwili Kyra też coś poczuła. Wstrzymawszy solzora zaczęła nasłuchiwać z uwagą. Po chwili, gdzieś z oddali, zaczęły dochodzić ją jakieś szmery.

Kyra z jednej strony była podekscytowana, z drugiej jednak obawiała się, co to mogło oznaczać: w lesie był ktoś, poza nimi. Przypomniła sobie ostrzeżenie ojca, a ostatnią rzeczą, której chciała, była konfrontacja. Nie tutaj i nie teraz.

Dierdre spojrzała na nią.

– Umieram z głodu – powiedział cieniutkim głosem.

Kyra czuła to samo.

– Ktokolwiek tam jest – odpowiedziała – w taką noc jak ta raczej nie będzie miał ochoty dzielić się z nami jedzeniem.

– Mamy mnóstwo złota – przekonywała ją Dierdre – Może będą chcieli trochę nam odsprzedać.

Kyra miała złe przeczucia.

– Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł – powiedziała stanowczo, miło kolejnego bolesnego skurczu żołądka – Powinnyśmy trzymać się naszego szlaku.

– A jeśli nie znajdziemy już żadnego jedzenia? – Dierdre była

bliska płaczu – Możemy umrzeć tutaj z głodu. I nasze konie też. Nasza podróż może potrwać jeszcze kilka dni. A co, jeśli to nasza jedyna szansa? Poza tym, nie mamy się czego obawiać. Masz broń, ja też mam swoją, no i są z nami Leo i Andor. Przecież ty potrafiłabyś umieścić trzy strzały w człowieku, zanim ten zdążyłby mrugnąć.

Kyra wciąż nie była przekonana.

– Poza tym, nie wydaje mi się, żeby jakiś myśliwy z mięsem na rożnie, chciał zrobić nam krzywdę – dodała Dierdre.

Kyra niechętnie zaczęła ulegać namowom towarzyszki.

– Nie podoba mi się to – powiedziała – Idźmy powoli i zobaczmy, kto tam jest. Przrzeknij mi, że jeśli dostrzeżemy coś niepokojącego, natychmiast uciekniemy.

Dierdre skinęła głową.

– Masz moje słowo – odpowiedziała uroczyście.

Wszyscy razem żwawo ruszyli przez las. Z każdym ich krokiem zapach stawał się coraz intensywniejszy. Pomiedzy zaroślami Kyra dojrzała wreszcie blade światło. Cała w nerwach zastanawiała się, któż to mógł być.

Im bardziej zbliżali się do źródła światła, tym wolniej i ostrożniej jechali. Z każdą chwilą poświata stawała się jaśniejsza, hałas głośniejszy, a zamieszanie większe. Nie było już wątpliwości, że zbliżają się do sporej grupy ludzi.

Dierdre pozwoliłaby głód przejął nad nią kontrolę. Zwiększając tempo zaczęła coraz bardziej oddalać się od Kyry.

– Dierdre! – syknęła Kyra, próbując przywołać ją z powrotem

do siebie.

Ale Dierdre oddalała się coraz bardziej, myśląc wyłącznie o swoim głodzie.

Kyra pospieszyła konia, by ją dogonić. Już po chwili obie dziewczyny znalazły się na skraju polany, oślepione jasnym światłem.

Stały jak wryte, oszołomione tym, co tam zobaczyły.

Na całej polanie rozstawione były dziesiątki rusztów, na których piekły się w ogniu ogromne świniaki. Zapach był wprost zniewalający. Wokół ognisk siedzieli mężczyźni, którzy śmieli się, pili wino i śpiewali, zającąc się przy tym świeżym mięsiwem. Kyra zmrużyła oczy, by przyjrzeć się im dokładniej i ku swojemu przerażeniu dostrzegła, że na ich strojach widnieją emblematy Pandezji.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.